

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 6 maja 1947 r.

Nr 18 (87)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

DZIEŃ PRZYMIERZA

W roku 1938 na pchód pierwszomajowy, ciągnący ulicami Warszawy, faszyci rzucili bomby. Padło kilku ludzi. W rok później, w roku 1939, demonstracje majowe w całej Polsce zostały zakazane. Było to dokładnie na 120 dni przed wybuchem drugiej wojny światowej. Na cztery miesiące przed rozpoczęciem wielkich zmagania między demokracją i faszyzmem, sanacyjny rząd w Polsce nie chciał dopuścić, by na ulice Warszawy wylegli przyszli obrońcy stolicy. W owe bowiem lata przedwojenne dzień Pierwszego Maja był dniem protestu świata pracy przeciwko wyzyskowi, kłamstwu i przemocy: przeciwko wyzyskowi ekonomicznemu, kłamstwu ideologicznemu i imperialistycznej przemocy. Od pół wieku w pierwszym dniu maja warstwy pracujące całego świata — robotnicy, chłopcy i inte-

ligencja pracująca — potwierdzały swoją solidarność w walce o wyzwolenie człowieka.

Bywają okresy w życiu narodów, gdy historia przyspiesza swój bieg. Po latach walki, trudnego mozołu i gorzkich doświadczeń polski świat pracy przejął odpowiedzialność za losy narodu i państwa. Zwycięstwo idei demokracji ludowej, reforma rolna, unarodowienie wielkiego przemysłu, doniosłe przemiany w strukturze społecznej kraju — umacniają naszą wiedzę o prawach postępu i obowiązku ich obrony przed siłami politycznego wstecznicstwa i ciemnoty.

Trzeba jednak stwierdzić, że udział polskich sfer intelektualnych w obchodach pierwszomajowych był przed wojną nikły.

Intelektualista, usidlony politycznym mitem „apolityczności”, pozwolił się odciąć od żywego nurtu społecznego. Dla wielu intelektualistów pochodzących z pierwszomajowej manifestacji wyłącznie klasy robotniczej. Od ostatniego legalnego obchodu święta Majowego w przedwojennej Polsce upłynęło dziewięć lat.

Dla społeczeństwa polskiego okres ten, a raczej jego lata ostatnie były surową lekcją poglądową.

Dzisiaj w Polsce Pierwszy dzień Maja obchodzony jest nie tylko jako święto zwycięstwa i międzynarodowej solidarności mas pracujących — ale również jako dzień przymierza polskich mas robotniczych i chłopskich z polskim światem intelektualnym.

Z DZIEJÓW „PROLETARIATU” 1880 — 1886

List K. Marksa i Fr. Engelsa na zebranie genewskie w 1880 r.

Do meetingu w Genewie, zwołanego na pamiątkę 50-ej Rocznicy Rewolucji Polskiej 1830 r.

Obywatele!

Po pierwszym podziale kraju, Polacy opuszczając swą ojczyznę przepływają Atlantyk, aby bronić wielkiej wówczas powstającej republiki amerykańskiej. Kościuszko walczy obok Waszyngtona. W 1794 r., gdy Rewolucja Francuska z trudnością stawia opór siłom Koalicji, sławne powstanie polskie wysobadza ją. Polska traci swą niezależność lecz rewolucja zostaje. Polacy zwyciężeni wstępują do armii „sankiulotów” i pomagają im przy burzeniu feudalnej Europy. Nakoniec w 1830 r., gdy cesarz Mikołaj i król Pruski zamierza doprowadzić do skutku swe plany, by nowym napadem na Francję, zrestaurować legitymistyczną monarchię, wówczas rewolucja polska, którą dziś święcicie, zastępuje im drogę. „Porządek zapanował w Warszawie”.

Okrzyk „Niech żyje Polska”, który rozległ się wówczas w całej Europie zachodniej, nie był wyłącznie daniną sympatii i podziwu dla bojowników patriotycznych, brutalną siłą zgniecionych — okrzykiem tym witano naród, wszystkie powstania, którego — tak dla niego samego fatalnie zatrzymywały zawsze pochód kontrrewolucji naród, najlepsi synowie którego nie zaprzestawali nigdy wojny odpornej, walcząc wszędzie pod sztandarem rewolucyjnym ludowym. Z drugiej znów strony, podział Polski ukrzepił Święte Przymierze, tę maskę hegemonii cara nad wszystkimi rządami Europy. Okrzyk więc „Niech żyje Polska!” mówił sam przez się: śmierć Świętemu Przymierzu, śmierć despotyzmowi militarnemu Rosji, Prus, Austrii, śmierć panowaniu mongolskiemu nad społeczeństwem nowożytnym.

Od 1830 r., gdy burżuazja we Francji i Anglii ujęła mniej więcej władzę w swe ręce, ruch zaczął się ujawniać wśród proletariatu. Od roku 1840 klasy posiadające w Anglii zmuszone już były uciekać się do pomocy siły zbrojnej, aby opierać się partii chartystów, tej pierwszej bojowej organizacji wśród klasy robotniczej. Wówczas w ostatnim roku walki o niezależność Polski, w Krakowie wybuchła w 1846 r. pierwsza rewolucja polityczna, która celowała socjalistycznie. Od tej chwili Polska zyskuje sobie wszelkie ludne sympatie zabezpieczonej Europy.

W 1847 roku zbiera się potajemnie w Londynie pierwszy Międzynarodowy Kongres proletariatu, który wydaje Manifest Komunistyczny, zakończony nowym hasłem rewolucyjnym: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” Polska miała na tym kongresie swych przedstawicieli, a do rezolucyj kongresu przystąpił sławny Lelewel i jego stronnicy na publicznym meetingu w Brukseli.

W 1848 i 49 r. armie rewolucyjne niemieckie, rumuńskie, węgierskie, włoskie — przepelnione były Polakami, którzy odznaczali się, jako żołnierze i jako dowódcy. Chociaż prądy socjalistyczne tej epoki utopijne zostały we krwi Czerwonej, jednak rewolucja 1848 r. — nie trzeba o tym zapominać — ogarniając swym płomieniem prawie całą Europę, zrobiła z niej na chwilę jedną gminę i przygotowała w ten sposób grunt dla Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników. Powstanie polskie 1863 r., dając sposobność do wspólnego protestu robotników angielskich i francuskich przeciw nadużyciom międzynarodowym ich rządów, było punktem wyjścia dla Internacjonatu, założonego przy udziale wygnańców polskich. Na koniec, wśród polskich wygnańców Komuna Paryska znalazła swych prawdziwych obrońców a po jej upadku wobec sądów wojennych w Wersalu wystarczyło być Polakiem, aby zostać rozstrzelanym.

Polacy więc poza granicami kraju swego odegrali wielką rolę w walce za oswobodzenie proletariatu — oni byli głównie jej międzynarodowymi wojownikami.

Dzisiaj, gdy walka ta rozwija się wśród samego ludu polskiego niech ją podtrzymuje propaganda, prasa rewolucyjna, niech łączy się ona z usiłowaniami naszych braci rosyjskich; będzie to jednym powodem więcej,

aby powtórzyć dawny okrzyk: „Niech żyje Polska!”

Pozdrowienie i braterstwo

(podpisano) Karl Marx, Fryderyk Engels, Paweł Lafargue, F. Lessner. Dawni członkowie Rady Głównej Stowarzyszenia Międzynarodowego Robotników.

Londyn, 27 listopada 1880.

LIST WARYŃSKIEGO

W imieniu redakcji „Równości” do wiewu protestacyjnego przeciwko tyranii despotyzmu carskiego, odbytego w Paryżu dn. 22 maja 1881 r.

Obywatele i Obywatelki!

Zebrałście się, by protestować przeciwko tyranii despoty rosyjskiego, Aleksandra III. Ojciec jego, którego panowanie bytyrańskich nieludzkich czynów, padł pod ciosem rewolucyjnej sprawiedliwości. Obywatele Paryża, wyście znali tego tyrana, wy pamiętacie go jeszcze. 18 lat temu, okrutne czyny spełnione przez Aleksandra Wieszatela w Polsce powstającej, zebrały was przed gmachem Prawodawczego Ciała. Zapomniałszy o tyranii, która na was ciążyła, żądaliście wojny w imię ludzkości. Rząd Napoleona II ułaskił się waszych protestacji i drząc o własne swe bezpieczeństwo, uspokoił was ułudnymi obietnicami. Za Polską — Kaukaz, potem powstanie ludowe w Rosji, prześladowania sekt religijnych; wszystko jednym słowem, co ośmieliło się protestować przeciw

tyranii pogrążone zostało we krwi. Nie było granic torturom i gwałtom! Bat kosa, kula, szubienica, miały stłumić ich duch buntu.

Potem wystąpili socjaliści i stali się

My nie możemy być miłośnikami pokoju na inny sposób jak działacze wielkiej rewolucji francuskiej, którzy wzywając ochotników do zaciągnięcia się pod sztandary rewolucyjne pisali w proklamacjach: „Wojna wolności z niewolą — będzie to ostatnia wojna”.

Kazimierz Kelles-Krauz

TREŚĆ NUMERU:

DZIEŃ PRZYMIERZA Z DZIEJÓW „PROLETARIATU”
 JAN LEMANSKI — PIERWSZY MAJ
 ALEKSANDER HERTZ — O ENERGII ATOMOWEJ I PARU INNYCH SPRAWACH
 MIECZYSLAW JASTRUN — CZY PAN JEST SURREALISTĄ?
 KORESPONDENCJA Z PARYŻA LIST O EGZYSTENCJALIZMIE
 EWA SZELBURG-ZAREMBINA — DWA OPOWIADANIA
 ZYGMUNT RADEK — ZEGLUGA KU BIELANOM
 JAN MYDLARSKI — W SPRAWIE EWOLUCJI I POCHODZENIA CZŁOWIEKA
 WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW — DWIE KSIĄŻKI I PEWNA DYSKUSJA
 MELANIA KIERCZYŃSKA — SPÓR O REALIZM
 ANKIETA „KUŹNICY” GŁOSY CZYTELNIKÓW I LISTA NAGRODZONYCH
 PRZEGLĄD PRASY
 KANDYD — TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
 KORESPONDENCJA
 NOTY

przedmiotem prześladowań. Przyjeł on walkę. Widzieliśmy ten zacięty bój garstki bohaterów, poświęconych na śmierć. Podziwiamy ich. 21 szubienic wystawionych przez Cara Wieszatela nie odstraszyły socjalistów-rewolucjonistów, nie zwyciężyły ich... Car-kat umarł, ale tyranja pochłania nowe ofiary. Syn jego, następca tronu, przeszedł swego ojca. 5 szubienic, które postawił on, wstępując na tron, błędą wobec torturowania ciężarnej kobiety, Jassy Helfman. Obywatele Paryża, łączymy się z wami, by protestować przeciwko tym nowym dowodom okrucieństwa rosyjskich despotów.

Niech potępieniem na zawsze zostanie imię tyrana, który dla nasycenia swej zemsty, krew przelewał swych „poddanych”. Przekleństwo pamięci ojca-tyrana, przekleństwo tyranowi-synowi. Cześć niezłomnym bojownikom, którzy zginęli w tej nierównej walce. I niech pamięć o nich na zawsze wśród nas pozostanie.

Cześć tym, co cierpią za lepszą przyszłość swego ludu!

Genewa, 20 maja 1881 r.

Za redakcję „Równości”

Ludwik Waryński.

(„Równość”, Nr 5 i 6 marzec i kwiecień 1881).

DO SOCJALISTÓW ROSYJSKICH

Towarzysze Socjaliści Rosyjscy! Wypowiadając poglądy nasze na warunki socjalno-politycznej walki w Rosji, zwracamy się do was z propozycją wypracowania wspólnego programu.

Przekonani jesteśmy mocno, że związek socjalno-rewolucyjnych sił w granicach Rosji nie tylko w danej chwili wzmocni intensywność tych sił w walce z naszymi wspólnymi wrogami, ale będzie on nadto gwarancją przed wszelkimi dążeniami wyzyskiwania w innym celu rezultatów prac naszych.

Podobne stawianie kwestji, wywoła naturalnie moc obwinień. Wy obwinieni będziecie o moskiewski centralizm, nam zaś zarzucą zdradę narodowych tradycji...

Pewni jednak jesteśmy, że wobec wielkości zadań, jakie leżą przed nami, wobec trudności walki, jaka nas czeka — obwinienia te pozostaną bez wpływu na nasze wspólne przedsięwzięcia.

Minał już dla nas czas separatyzmu i tradycyjnych nienawiści... Cel wspólny po-



Ludwik Waryński

winien nas bratnio złączyć na polu walki. Czas i praktyka rozstrzygną o słuszności twierdzeń naszych.

Genewa, 3 listopada 1881 r.

Grupa b. członków „Równości” i redakcja czasopisma socjalistycznego „Przedświt”.

(Przedświt, 1881 r. Nr. 6—7).

Z PROGRAMU „KOMITETU ROBOTNICZEGO”

III. W zakresie życia moralnego proletariatu polski usunąć musi przesady, ciemnotę i wszystko, co znamionuje ucisk i na tym gruncie walczyć będzie ze wszystkimi, którzy dla zapewnienia sobie nad ludem przewagi utrzymują go w stanie umysłowego dzieciństwa.

Moralne stosunki powinny się opierać na swobodzie sumienia, uczuć, myśli i nauki.

a przytem:

- 1) Nauczanie powinno być obowiązujące, bezpłatne i bezwymiarowe.
- 2) Sprawy religijne mają być niezależne od państwa.
- 3) Stosunek płci powinien się opierać jedynie na uczuciach.
- 4) Praca ma być uważana jako obowiązek i zaszczyt.
- 5) Jedynym przymusem w stosunkach moralno-społecznych ma być moralne współzawodnictwo.

Wyzwolenie klasy pracującej z pod ekonomicznego, polityczno-socjalnego i moralnego ucisku powinno być dziełem samych robotników.

Wielkie to zadanie socjalistycznego proletariatu polski dokonać potrafi, odpowiednio przygotowawszy się do roli, jaką mu historia wyznacza. Przygotowawszy więc praca, mająca na celu zespolenie wszystkich sił robotniczych w kraju naszym w jedną organiczną całość, świadoma swych interesów i dążąca do urzeczywistnienia wskazanego powyżej programu, jest jednym z najpierwszych zadań robotniczych naszego ruchu u nas. Zadaniu temu zadośćuczyni organizacja socjalno-rewolucyjna „Proletariat”, w której kierownictwo nad walką ekonomiczną i organizacją objął Komitet Robotniczy. Wobec dzisiejszych warunków w caracie taktyką naszą musi być jedynie systematyczna walka we wszystkich trzech sferach społecznego życia (ekonomicznej, politycznej i moralnej) z tem wszystkimi co opóźnia przezwrot robotniczy. Uznając wszakże, iż podstawą stosunków społecznych są warunki ekonomiczne, a więc, że wszystkie inne objawy życia społecznego warunkiem tym są podporządkowane, uznając dalej, że w sferze ekonomicznej najjaskrawiej przejawia się odrębność interesów proletariatu, jako klasy wyzyskiwanej, w walce naszej najbardziej na względzie mieć będziemy stosunki ekonomiczne własne.

Z uciskiem znowu walczyć będziemy odpornie, bądź też zaczepnie, w pierwszym razie nie zezwalając żadnych zmian ku gorszemu, w drugim zaś domagając się polepszenia obecnych warunków bytu proletariatu w państwie rosyjskim.

Stosując się do istniejących u nas warunków politycznych zmuszeni jesteśmy do pracy i działalności potajemnej, ujawniającej się tylko w momentach odpowiednich wystąpieniami masowymi, których program ściśle zastosowany będzie do potrzeb miejsca i czasu.

... W sferze stosunków moralnych walczyć będziemy: 1) Usuwając przesady, które duchowieństwo, prasa i fałszywa opieka rozsiewają między ludem w interesie klas posiadających, 2) podnosząc poziom moralny robotników i rozbudzając w nich poczucie godności osobistej, 3) tworząc literaturę, która da poznać ludowi prawdy naukowe, nieubarwione przewrotnymi tendencjami wyzyskiwaczy. W działalności tej trzymać się będziemy zasady, że tylko to, co stwierdzone jest przez naukę, co broni słuszności i w imię prawdy przemawia przyczynić się może do moralnego rozwoju proletariatu, przewrotna zaś zasada, usprawiedliwiająca popieranie przesądów z obawy w życiu ludu moralnego gruntu, nigdy i nigdzie przez nas naśladowaną nie będzie.

(„Przedświt”, Nr 4, Genewa, 17 października 1882 r.).

STRAJK W ŻYRARDOWIE W 1883 R.

O ile mi wiadomo, był to pierwszy strajk w Żyrardowie; przynajmniej od starych robotników nigdy nie słyszałem o dawniejszych strajkach. Odbył się on w kwietniu. Hasło strajku dały kobiety-szpularki. Mężczyźni z początku wcale nie brali w nim udziału, dopiero po trzech dniach, gdy im zabrakło gotowych szpilek, porzucili pracę. Szpularki miały nadzwyczaj nędzne zarobki; przy pracy od 5 rano do 7-ej wieczorem najlepsza robotnica mogła zarobić dziennie Kop. 40, a były i takie, co zarabia-

ły 20 — 25 kop. Jednak i te zarobki wydały się dyrektorowi tkalni, Tomaszowi Garbiemu, za wysokie, w porozumieniu więc z pryncypałem, Gustawem Dietrichem, oberwał szpularkom na pęk przedzwy 15 kop., co na dzień wynosiło dla szpularki o 5—6 kop. mniej. Szpularki udały się do Garbiego z prośbą o przywrócenie dawnych cen, lecz zostały wyrzucone za drzwi z katoru. Wtedy wszystkie szpularki w ilości 500 osób opuściły fabrykę. Siedziały w mieszkaniach spokojnie, a wieczorami schodziły się jedna u drugiej i naradzały się, co począć dalej.

Nazajutrz pryncypał zwołał wszystkich zarządzających fabryką na naradę i zaproponował zwrócenie szpularkom tych 15 kop., gdyż obawiał się dłuższej przerwy w pracy, a miał bardzo dużo obstalunków. Propozycji tej oparł się główny zarządzający, Mikołaj Wątróbski i inni. Za ich radą wysłał gospodarza fabryki i lekarza Aleksandra Jaworka do robotnic, aby namawiali je do podjęcia pracy. Jednocześnie sprowadzono do kantoru parę szpilek oraz ich ojców i mężów, którym zagrożono natychmiastowym wyrzuceniem z fabryki i mieszkań fabrycznych, w razie ich córki i żony nie pójdą do pracy. Wielu wystraszonych robotników poczęło namawiać kobiety, ażeby przerwały strajk, i być może, że rady te odniosłyby skutek, gdyby nie młodzież żyrdowska, przeważnie młodzi tkacze. Ci ostatni oddali swe szpilki zapasowe starszym towarzyszom, by nie mieć czym robić i w ten sposób stworzyli sobie pretekst do wyjścia za bramę. Tam jeśli namawiali szpularki do wytrwania, twierdząc, że wkrótce muszą wyjść wszyscy tkacze, gdyż mają już bardzo mało szpilek zapasowych. Wieczorami gromadzono się kupami na ulicach, ponieważ mieszkania były już za ciasne. Na tych zebraniach postanowiono, aby cała fabryka stanęła. W tym celu powzięto uchwały: po wyjściu wszystkich tkaczy należy udać się nad staw, przekopać groble i spuścić wszystką wodę. Tak skończył się dzień drugi.

O powyższej uchwale dowiedział się niezwłocznie pryncypał, sprowadził władzę i policję z powiatu i otoczył staw i rzekę policją i strażakami. Straż ogniowa już podówczas była dość liczna. Wojska podówczas w Żyrardowie nie było; było tylko trzech stałych strażników i dwóch żandarmerów na stacji.

JAN LEMAŃSKI

PIERWSZY MAJ*)

Rośnie w dzień pierwszego maja
Na gałązce pak.
Ni się groźby zląkł nahaja,
Ni aresztu zląkł.
Choć policjant wąsem rusza,
Pak nie boi się ratusza —
Na gałązce pak.

Rośnie w dzień pierwszego maja
Na gałązce liść.
Bez obawy się rozgaja,
Idzie, gdzie ma iść.
Chociaż jest manifestantem,
Nie zostanie aresztantem
Na gałązce liść.

Wolny, w dzień pierwszego maja.
Głos podnosi ptak.
Sfer rządzących gniew rozbraja.
Choć mu cenzur brak.
Czy mu smutek, czy wesele,
Śpiewa, ani dba o cele —
Głos podnosi ptak.

Na świat wyjść pierwszego maja
Z domu — Boże broń!
Tam stółkowy się uzbraja
Przeciw wroście w broń!
Gdy uciechą zbyt zapałasz,
Wydobędzie z pochwy pałasz.
Czego Boże broń!

Pusty w dzień pierwszego maja
I bezludny park.
Rozsypuje się, rozstraja
Tum, by nie wziąć w kark.
Maj proklamacyjne liście
Sam nalepił rozsypane
Na bezludny park.

W szynku siedź pierwszego maja.
Nie będzie ci nic,
Wiosna innych niech upaja,
Ty pij albo jedz.
Nie śnij wyjrzyć na ulicę,
W knajpie siedź i żłop szklanice.
Nie będzie ci nic.

Wiosna w dzień pierwszego maja
Świat zamienia w cud.
Choć policji się zaczyna
Kordon u jej wrót.
Ale choć jej pędy przytnie,
Wiosna młodym liściem kwitnie.
Świat zamienia w cud.

Na trzeci dzień strajku naczelnicy powiatowi — żandarmerii, Wasiljew i straży miejskiej, Baron, kazali zwołać wszystkie szpularki na plac ochronki. Gdy się te zgromadziły w towarzystwie robotników, naczelnicy weszli na schody i zaczęli się pytać, czego żądają. Tu dopiero można się było nasłuchać różnych rzeczy. Było mnóstwo słusznych i niesłusznych żądań, każda była innego zdania, płakano, proszono, przeklinano. Naczelnicy nie mogli się zorientować w tych żądaniach, kazali więc wybrać deputację, która przedłożyłaby władzy żądania ogółu. Robotnicy i robotnice zaczęły się naradzać i radziły do wieczora, a tymczasem ilość strajkujących wciąż się powiększała. Naczelnicy, którzy jedli i pili u pryncypała, wieczorem znowu pytali strajkujących, czy pójdą do fabryki. Zagrozili przytem, że w przeciwnym razie wydadzą wszystkich z fabryk i odstawią ciu-pasem do miejsca urodzenia, a Dietrich sprowadzi sobie innych ludzi. Wówczas wystąpiło kilka kobiet i trzech mężczyzn, którzy żądali lepszej płacy i krótszego dnia roboczego. Inni domagali się, ażeby Niemcy zostali wypędzeni, a fabrykę objął rząd, Lubiński lub Sobański*). Naczelnik Baron uderzył jednego robotnika.

Czwartego dnia robotnicy już nie mieli czym robić, zaczęli więc wychodzić z fabryki. Pryncypał latał, jak wściekły, brał mężczyzn i kobiety z tkalni i stawiał ich do szpulmaszyny, aby szpulowali. Nie szło to jednak tak łatwo. Niejeden tkacz nie chciał szpulować, powiedział: „ech, co mi tam!” machnął ręką i poszedł za bramę. O godzinie 10 rano już wszyscy tkacze wyszli z fabryki. Naczelnicy zmiarkowali, że będzie źle, wysłali więc depezę do pobliskiego miasteczka Chrzczonowa po wojsko, robotnicy zaś rozpoczęli układy.

W imieniu pryncypałów przemawiał główny zarządzający fabryką, Mikołaj Wątróbski. Polak wielki szubrawiec; ani Hille ani Dietrich nie mówili po polsku. Wątróbski wychwalał pryncypałów, mówił, że są oni prawdziwymi dobrodziejami, bo dają utrzymanie tylu tysiącom ludzi (podówczas pracowało w zakładach żyrdowskich 8.000); dowodził, że robotnicy nie powinni wyma-

*) Fabryka pierwotnie była wybudowana w dobrach Lubińskich a dziś pod Żyrardowem są dobra spadkobierców Sobańskich. Część domów mieszkalnych jest wzniesiona na ich granicy.

gać większej płacy, że robotnik powinien być kontent gdy ma kartofle, chleb i kaszę, siennik na postanie i kożuch do okrycia się, że robotnicy nie powinni ubierać się w tak drogie suknie, jak to teraz czynią, tak, że robotnice nie różnią się w ubraniu od córki pryncypała. Pryncypałowie nie mogą przeto być odpowiedzialni za to, że robotnikom nie wystarcza. Dalej powiedział: fabryka wypłaca tygodniowo robotnikom przeciętnie 35.000 rb.; dochód ledwo pokrywa wydatki; dawniej, kiedy właścicielem fabryki był hr. Lubiński, a potem Bank Polski, to robotnikom płacono tylko 20 kop. dziennie i to im wystarczało itp.

Ludzie oburzyli się tą przemową i odpowiedzieli, że dawniej ćwiartka kartofli kosztowała 15 kop., a dziś 90 kop. Wątróbski pobierał pensję tylko 18.000 rb. rocznie, zięć pryncypała Hille, pijak, nie nie robił, tylko grał w karty, pił i jeździł jak wariat, a brał 35 rb. dziennie. Na tak wielkie pensje im starczyło, a robotnikom nie było z czego podwyższać mizernych zarobków.

Parę śmiazków udato się do pałacu Wątróbskiego. Wybili parę szyb i możeby zburzyli cały pałac, gdyby nie próby znajdującego się tam podówczas księdza Weltmana, bardzo przez lud cniegonego. Następnie robotnicy udali się do mieszkania dyrektora blichu — Frankego i wybili mu wszystkie okna. Franke, przebrawszy się w suknie żony, uciekł przez ogród do fabryki. Wówczas zaczęto wszystko burzyć i rozwalać. Tlum wpadł do fabryki — najpierw do oddziału maszyn i kotłowni parowych, gdzie pootwierano krany do spuszczenia wody, co spowodowałoby niechybnie wybuch; zapobiegli temu pałace, którym, na ich usilne próby, pozwolono wygarnąć ogień. Następnie tłum przeszedł przez wszystkie oddziały fabryki, wypędzając tych, którzy jeszcze pracowali, przyczem potłuczono kilka warsztatów tkackich. Niebawem fabryka zupełnie opustoszała — nie pozostał w niej ani jeden robotnik. Tlum udał się na blich. Tu było bardzo dużo płótna na kwasach i chlorku; wypędzono wszystkich pracujących robotników i płótno musiało się spalić. Hille prosił, aby pozwolono płótno wypłukać w wodzie, ale w odpowiedzi na to otrzymał od jednego z robotników w twarz, aż mu kapelusze spadł z głowy. Umknął natychmiast, nie rzuciwszy nawet jedyńskich znanych mu wyrazów polskich: „Psiakrew, głupia polska świnia”. Wkrótce wyjechał z Polski i więcej się nie pokazał.

O godzinie 3-ej po południu przyszło wojsko — jedna rota piechoty. Dorośli i dzieci wybiegli na jej spotkanie, ponieważ wielu jeszcze nie widziało wojska i karabinów. Tlum dochodził do 12.000, gdyż oprócz robotników było dużo żydów i dzieci. Dowódca rot, widząc ten burzliwy tłum, sądził, że ten rzuci się na wojsko, rozkazał więc niezwłocznie nabić broń ostrymi ładunkami i wydobył pałasz. Tak rota przeszła między ludźmi na plac targowy, gdzie ustawiła broń w kozi. Niebawem nadciągnął cały batalion. Jakiś czas wojsko stało spokojnie, szeregami. Wtem jeden z robotników, Antoni Bunert, poznał między żołnierzami swego dawnego kolegę — żyrdowiaka, Wawrzyńca Koziańskiego: Bunert go pozdrowił: „Jak się masz Wawrzonek?” Ten mu na to: „ubiraj się k'czortu, buntowszczyk” i uderzył go kolbą. Bunert porwał kamień z bruku, wybił nim Koziańskiemu parę zębów i zrobił dziurę w twarzy. Bunerta natychmiast aresztowano (było to pierwsze aresztowanie podczas strajku), żołnierza zaś odesłano do szpitala fabrycznego. Bunerta chciano odprowadzić do aresztu gminnego, ale w drodze ludzie go odbili, przyczem powstała bójka między ludem a wojskiem. Lud rzucał kamieniami, wojsko zaś posługiwało się kolbami, nie strzelając. Tego dnia władze depeżowały do generał-gubernatora. Tak się skończył dzień czwarty.

5-go dnia, 25.4. przyjechał pomocnik gubernatora, Martynow, przywoząc z sobą kozaków i wojsko. Kozacy rozpedzili lud nahajkami, wzamian obrzucano ich kamieniami. Z obydwu stron było wielu rannych. Soldaci leżeli w szpitalu, robotnicy po domach. Martynow zarządził aresztowania. Wzięto 40 robotników i osadzono ich w areszcie gminnym.

Pryncypał i jego wierni oficjaliści wychyliłi się z ukrycia. Chodzili pomiędzy żołnierzami, karmiąc ich i pojąc. Soldaci byli zupełnie pijani. Wieczorem oficerowie wzmochnili wartę koło aresztu gminnego, a sami poszli pić — mniej do reursy, a więksi do pryncypałów. Tlum otoczył areszt i jał domagać się uwolnienia uwięzionych. Wojsko nastawiło bagnety, robotnicy uzbili się w kolki i kamienie, poczem nastąpił atak na wartę. Dowódzący podoficer, widząc, że żołnierze muszą ulec, zaczął dać ognia w górę ran, drugi, trzeci, lud nie ustępował, lecz przeciwnie, jeszcze bardziej nacierał. Wtedy nastąpiła jeszcze raz kome-

*) Przypominamy mało znany utwór Jana Lemańskiego, pochodzący z czasów caratu.

da: „ognia!“ ale już w tłum. Żołnierzy na razie było ze 40, lecz prawdopodobnie nie wszyscy strzelali w tłum, bo padło tylko trzech zabitych (jeden z nich umarł na drugi dzień w szpitalu, dwaj inni na miejscu) i 15 rannych (między rannymi były dzieci). Jeden z zabitych, ugodzony kulą w czoło, nie był wcale w tłumie napadających. Wyszedł z domu w samej bieliźnie i zaraz na progu upadł. Na odgłos strzałów nadbiegli Martynow w towarzystwie innych oficerów. Przybyło też wojsko wraz z kozakami.

Po wystrzałach tłum się nie rozproszył, przeciwnie — bardziej się jeszcze rozjuszył: wielu uzbroidło się w kamienie, wylamywano kolki ze sztachet itd. Gdyby nie łagodna perswazja, próśby i natychmiastowe wypuszczenie uwięzionych, zarządzane na rozkaz Martynowa, powtórzyłby się napad na wojsko. Martynow i inni urzędnicy chodzili między ludem i prosili, błagali, aby się ten uspokoił. Martynow mówił po polsku: „kochani bracia, uspokójcie się, myśmy nie wydawali rozkazu strzelania, oni będą odpowiedzialni i zostaną oddani pod sąd“. Odpowiadano często wymyślaniami i krzykami: „mordujecie naszych braci, zbrodniarze“. Wreszcie ludzie się rozeszli.

Szóstego dnia pryncypał ustąpił. Sam obchodził robotników i rozdawał litograficzne odezwy z własnoręcznym podpisem. Proponował następujące warunki: 1. Dzień roboczy skróci o godzinę, 2. Nie będzie obrywał płacy i zwróci szpularkom to, co oberwał. 3. Zaprowadzi fabryczne sklepy spożywcze, w których ceny będą znacznie niższe, niż gdzie indziej. 4. Okaleczonym wskutek odniesionych ran da utrzymanie lub odpowiednie zajęcie w fabryce aż do końca życia. 5. Wspaniale pochowa zabitych. 6. Zapłaci wszystkim za dni strajku, przyczem nikt nie będzie wydalony i za nic nie będzie odpowiadał. 7. Dyrektora Frankego i wielu innych wydali. Pracę wznowiono 29 kwietnia.

Wszystkich tych warunków dotrzymał sumiennie. Nawet nie przyjmował już potem dzieci, które nie ukończyły 15 lat, kiedy dawniej przyjmowano od lat 12-tu, a jeszcze dawniej nawet od 6-ciu. Pogrzeb zabitych odbył się wspaniale. Wzięło w nim udział kilka tysięcy ludzi, pryncypał, cała jego rodzina i wielu towarzyszy. Wszystkich trzech zabitych pochowano w jednym grobie. Po ukończeniu strajku nikogo nie aresztowano i sprawy żandarmskiej nie było wcale. („Z pola walki“, Londyn, 1904, str. 125—128).

LIST *) S. KUNICKIEGO DO L. WARYŃSKIEGO I TOWARZYSZY

Kochani przyjaciele i towarzysze! Tym razem piszę do Was osobiście, gdy sam jeden tymczasem zostałem w Warszawie, reszta*) się porozjeżdżała w różne strony za interesami—w przyszłym tygodniu będziemy już wszyscy razem i zbiorowo do Was napiszemy. Nie uwierzcie, jaką przyjemność sprawiło mi kilka słów, nakreślonych Waszą ręką po prawie rocznym milczeniu. Przez ten czas zmieniły się warunki, zmienił się świat, tak, że jeżelibyście teraz wyszli na świat, nie poznalibyście tego, coście zostawili. Areszty (których początek wyście założyli) tworzą dotąd niustannie², lecz raz wyrwą kogo z naszych szeregów, lecz nie tracimy energii i wszyscy pozostajemy na swoich miejscach, aż póki fortuna nie zmusi nas rozdzielić Wasz los. Ruch, śmiało powiedzieć można, nie osłabł wcale, owszem, przeżywszy dość ciężkie czasy (które nieraz zmuszały waszemu losowi zazdrościć — Henryk³ po części je zna) spotężniał. Znalazło się wśród robotników masa ludzi dzielnych i oddanych, lepsza młodzież uniwersytecka (byli Kazimirowscy)⁴ przyłączyła się do nas tak, że mamy całą robotę opartą na miejscowych elementach przyjezdnych jest tylko 4⁵. Bądźcie pewni, kochani towarzysze, że nie damy zginać prasy Waszej. Jesteśmy pewni, że ruch u nas nie usnie nigdy. Będąc ostatnimi czasy zajęci wyłącznie pracą wewnętrzną, zaniedbaliśmy nieco wydawnictwa i terror, teraz bierzemy się i do tego. Nr 5 „Proletariatu“ wyszedł i zrobił pyszne wrażenie (chciałbym Wam jego przesłać). Z zagranicą weszliśmy w bliskie stosunki — tam założyliśmy swój organ („Walka Klas“ — w guście „Więsnika“, „Narodnej Woli“), redakcja którego składa się ze mnie, Mendelsona (Młota⁷, Marii Jankowskiej i Wejnawskiej⁸. Dłuski i Piekarski usunęli się, gdyż nie zgadzają się na nasze stosunki z rosyjanami i chcą organizować w etnograficznych organizacjach⁹. Organizacja robotników przyprowadzona do porządku nie tylko tu, lecz w Łodzi, Zgierzu, Częstochowie, Piotrkowie, Radomiu, Żyrardowie, Białym-

stoku. Nasze kolonie (Piter, Moskwa, Kijów) także znacznie się rozwinęły. Wszystko tymczasem dobrze, brak tylko strasznych literackich — mamy nadzieję, że się wyrobią z tutejszej młodzieży, lecz na to trzeba czasu, a teraz z wielkimi trudnościami możemy wydawać numer raz na miesiąc. Chcemy kogo sprowadzić z zagranicy. Cieszy nas ogromnie, że się udało pozyskać i przyciągnąć do siebie miejscową młodzież.

Solidarność¹⁰ umarła na wieki.

Informacje tow. F. Kona

- 1) Stary styl.
- 2) Janowicz wyjechał w Kowieńskie spieniężyć majątek i dostarczyć środki partii; Dębski po areszcie Zagórskiego wyjechał do Warszawy.
- 3) Po zaarrestowaniu Waryńskiego 29. IX. 83 r. do ogólnej „wsypy“ 11. VIII 84 r. zaarrestowano z wybitniejszych:
 - a) Henryka Dulebę,
 - b) Mieczysława Mańkowskiego,
 - c) Agatona Zagórskiego,

- d) Ostrejkę,
- e) Warpechowskiego,
- f) Jędrzejewskiego,
- g) Kona.
- 4) Henryk Duleba (siedział już w tym czasie w jednej celi z Waryńskim).
- 5) Stronniczy Kazimierza Puchewicza — członkowie „Solidarności“: F. Kon, Stanisław Pacanowski, Bronisław Sławiński.
- 6) Kunicki, Dębski, Janowicz, Płaskowicka-Dziankowska.
- 7) Szymon Dicksztein.
- 8) Cezaryna Wojnarowska.
- 9) błąd oczywiście przy przepisywaniu.
- 10) Partia „Solidarność“.

(Z „Pola Walki“, Nr 1, Moskwa, 1926 r., str. 70—71).

„Przedświt“ następująco streszcza akt oskarżenia doręczony w procesie „Proletariatu“.

Proces „Proletariatu“

Sprawa naszych drogich towarzyszy, która toczyła się przed warszawskim sądem wojennym, jest tak ważnym faktem w historii polskiego ruchu socjalistycznego, iż należało by się każdemu z nas być obznajmionym z jej przebiegiem całym.

W „Przedświcie“ jednak nie mamy miejsca tyle, by móc przedrukować cały akt oskarżenia. Odsyłamy więc naszych czytelników do N-ru 4-go „Walki Klas“ za miesiąc styczeń 1886 roku, który niebawem wyjdzie z druku.

Tu zaś podamy wszystkie te punkty, o które oskarżano naszych towarzyszy:

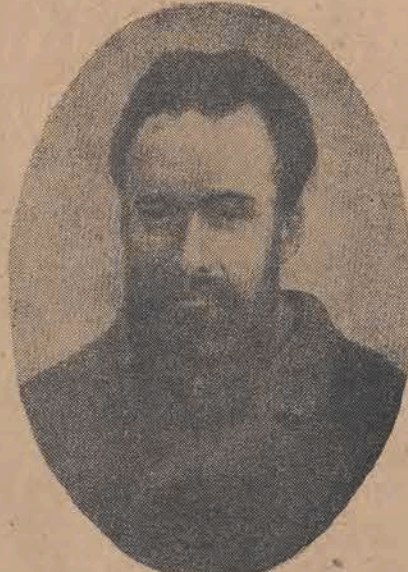
- 1) O rozrzucanie proklamacyj (1, 3 i 4 lutego 1883 roku), wzywających ludność robotniczą do opierania się temu, by policja miała prawo poddawać robotnice rewizji lekarskiej.
- 2) O rozrzucanie proklamacyj, wzywających ludność robotniczą do solidarnego działania (w maju 1883 roku).
- 3) O przewożenie druków socjalistycznych z zagranicy.
- 4) O rozrzucanie manifestu do ludności rolniczej.
- 5) O wydawanie tajnej gazety „Proletariat“.
- 6) O zamach na szpiega Szremskiego (w październiku 1883 r.) w Zgierzu.
- 7) O rozszerzanie proklamacyj w Białymstoku.
- 8) O rozrzucanie odezwy „Do towarzyszy“ w Warszawie.
- 9) O powtórny zamach na Szremskiego (w marcu 1884 r.).
- 10) O zabicie szpiega Helseza w Zgierzu (w maju 1884 r.).
- 11) O rozrzucanie proklamacyj z powodu tego zamachu.
- 12) O zranienie ajenta policyjnego, który w mleczarni Henneberga chciał aresztować trzech socjalistów (dwóch zdołało wtedy zbiec w czerwcu 1884 r.).
- 13) O zabicie szpiega Skrzypczyńskiego w Warszawie (w lipcu 1884 r.).
- 14) O przygotowanie zamachu na nacelnika żandarmów i na prokuratora w Warszawie.

Oskarżonych towarzyszy było 200, z których 29 oddano pod sąd, resztę zaś karano administracyjnie, to jest nawet bez sądu. („Przedświt“, Nr 12, grudzień 1885 r.).

Przemówienie Waryńskiego na Sądzie
 Zapytany, czy poczuwam się do winy, ja już oświadczyłem, że o winie mojej i nas wszystkich nie może być mowy. Myśmy walczyli za swoje przekonania, my usprawiedliwieni jesteśmy przed własnym sumieniem i przed ludem, sprawie którego służyliśmy. Obojętnymi są dla mnie szczegóły ciężących na mnie oskarżeń, i ja nie będę tracił czasu na ich zbijanie. Zadanie moje polega na tym, ażeby odtworzyć obraz prawdziwych naszych dążeń i działalności, które prokuratoria w fałszywym świetle wystawia. My nie sekciarze, ani też nie oderwani od rzeczywistego życia marzyciele, za których nas uważa oskarżenie, a nawet obrona. Socjalistyczna teoria otrzymała prawo obywatelstwa w nauce, i na jej korzyść niustannie świadczą fakty realne współczesnego życia. Od poważnych myślicieli wyszła drugocząca krytyka istniejącego systemu; oni też wskazują na zarobki lepszego ustroju, które szybko rozwijają się na gruncie dzisiejszych warunków. Parlamenty, a nawet rządy despotyczne, przeprowadzają drogą prawodawczą reformy, znajdujące się w zupełnej sprzeczności z panującymi pojęciami o własności. Koncentracja ziem państwowych, która odbywa się w wielu krajach Europy, przejście gospodarki kolejowej w ręce państwa, powszechne wprowadzenie prawodawstwa fabrycznego — wszystko to głęboko znamionują czas nasz i zbliża chwilę triumfu dla nowego ustroju społecznego. My nie ignorujemy tych faktów, my jasno widzimy znaczenie i pożytek ich dla naszej sprawy. Ale wraz z tym przekonani jesteśmy, że uwolnienie klasy robotniczej od ciężącego nad nią ucisku powinno być dziełem samych robotników.



Stanisław Kunicki



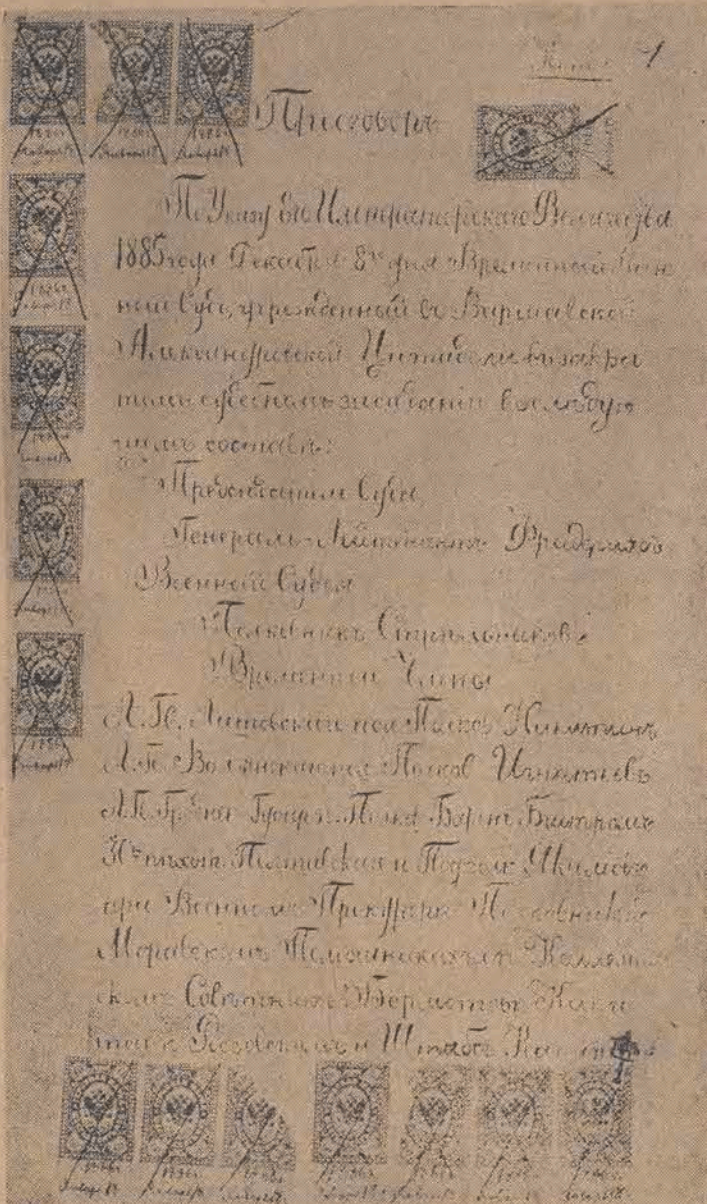
Piotr Bardowski



Michał Ossowski



Jan Pietrusiński



Pierwsza strona kopii wyroku sądu wojennego nad „proletariatkami“

*) List, który znaleziony został u Kunickiego przez żandarmów podczas rewizji 29.VIII.1884 r. pisany przez Kunickiego do Ludwika Waryńskiego i innych towarzyszy, członków „Proletariatu“, więzionych w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej.

Występując na polityczną arenę, klasa robotnicza powinna organizację wystawić przeciw organizacji, i w imię określonych ideałów prowadzić walkę z istniejącym ustrojem społecznym. Takie jest zadanie partii robotniczej, walczącej pod sztandarem socjalizmu. Ona tworzy przeciwwagę innym klasom społecznym i kładzie tamę reakcyjnemu dążnościom. Dążąc do radykalnej zmiany społecznego ustroju, partia robotnicza w czasie teraźniejszym prowadzi robotę przygotowawczą do tego. Zadaniem jej polega na tym, żeby pobudzić robotników do świadomego odnoszenia się do swych interesów i powołać ich do wytrwałej obrony praw swoich. Partia robotnicza dyscyplinuje i organizuje robotniczą klasę i prowadzi ją do walki z rządem i uprzywilejowanymi klasami. My dążyliśmy do wywołania ruchu robotniczego i do zorganizowania partii robotniczej w Polsce. Na ile usiłowania nasze były uwieńczone powodzeniem, Wy, panowie, osądzić możecie na podstawie danych, które śledztwo sądowe wyjaśniło. Przed Wami defilował długi szereg świadków ze stanu roboczego. Pamiętacie sędziowie w jaki sposób badała ich prokuratura, jak domagała się pożądanego dla niej zeznań. Wy pamiętajcie także, co odpowiadali ci świadkowie na zadane im pytania: co oni wiedzą o dążeniach partii „Proletariat”? Odpowiedzi ich dają się podciągnąć pod jedną ogólną formułę: partia dążyła do polepszenia bytu robotników i wskazywała środki osiągnięcia tego. Sympatie robotników po naszej znajdują się stronie. Dumni jesteśmy świadomością, że rzucone przez nas ziarno głęboko zapadło i puściło korzenie. Wśród robotników wielu było słabych, którzy uchyliłi czoło przed siłą i zdradzili swą sprawę; lecz bądźcie przekonani, sędziowie, że w chwili stanowej, nawet ci słabi i zahukani ludzie staną po naszej stronie!

Niedorzecznością jest przypisywanie nam zamiaru wprowadzenia nowego ustroju społecznego za pomocą zabójstw. Dla nas zabójstwo jest wstrętem; czymże wytłumaczyć, że ludzie obdarzeni najbardziej altru-

stycznymi skłonnościami, łagodnego charakteru i niezdolni do przyprawienia bliźniego swego o najmniejszą szkodę, wstępują w nasze szeregi i często winnymi się okazują krwawych zbrodni?

Działanie za pomocą środków gwałtownych jest smutnym, ale nieuniknionym następstwem wadliwości dzisiejszego ustroju. Teroryzm ekonomiczny nie jest bynajmniej środkiem dopięcia naszych społecznych zadań; ale przy pewnych warunkach jest on jedynym środkiem walki ze złem, wkorzenionym we współczesnym systemacie społecznym.

Nie mogę dać lepszego określenia ekonomicznego terroru, jak powołał się na słowa mojego towarzysza i współorganizatora Mańkowskiego, które z tego powodu na sądzie przez niego wypowiedzianymi zostały. Gdy robotnik wyjęty jest z pod opieki prawa, gdy prawodawstwo nie reguluje zachodzących pomiędzy nim a pracodawcą stosunków, gwałt z jego strony jest często jedynym środkiem obrony własnej; to co jest skutkiem wtedy zniknie, gdy usunięta zostanie wywołująca go przyczyna.

Nie pomogą sztuczne środki, teroryzmowi ekonomicznemu jedynie zapobiec może usunięcie warunków, które go wywołują. Podjąwszy się sprawy broni robotników od ich ciemności, partia socjalistyczna zmuszona jest pogodzić się z koniecznością; ale jej staraniem być powinno, żeby trzymać na wodzy naturalne uczucie rozbudzonej mściwości robotników, zastąpić je względami sprawiedliwości, i w ten sposób zmniejszyć ilość ofiar ekonomicznego terroryzmu. Prokuratura wskazuje sposób na straszliwą szkodę i przelew krwi, które mogą mieć miejsce na skutek działalności partii w tym kierunku. Ale szkoda ta nie jest niczym w porównaniu ze zgubnymi następstwami dzisiejszego ustroju społecznego. Na podstawie zebranych przez Pogorzała danych statystycznych okazuje się, że rok rocznie w Rosji 20 proc. ludności robotniczej ulega chorobom traumatycznym, skutkiem pokaleczenia od maszyn i innych narzędzi. Tymczasem ilość rannych

żołnierzy podczas rosyjsko-tureckiej wojny 1887 r. nie przekosiła 7 proc. ich ogólnej cyfry. W ten sposób wojna pociąga za sobą mniejsze ofiary, niż te nienormalne warunki, w których obecnie znajduje się ludzka praca.

My organizowaliśmy klasę robotniczą dla walki z teraźniejszym ustrojem. My nie organizowaliśmy przewrotu, lecz organizowaliśmy dla przewrotu. My wiemy, że wzrastające antagonizmy społeczne i narzmiewające na ciele społecznym rany są nieuniknione do wybuchu doprowadzą. Wiemy także, jak straszne następuje spustoszenie gdy nędza doprowadza masy ludowe do ostatecznych granic rozpaczy, i rozhułkane żywioły z szaloną siłą rzucają się na istniejący porządek rzeczy. Właśnie dlatego zadaniem naszym jest przygotować klasę robotniczą do rewolucji, ruch jej uczynić świadomym i ująć w karby organizacyjnej dyscypliny, wystawić określony program celów i środków. Czy można działalność naszą nazywać uknutym w celu gwałtownego wywrotu istniejącego porządku państwowego, ekonomicznego i społecznego?

Odpowiem porównaniem. Przedstawcie sobie, sędziowie, potok górski, który z gór alpejskich spływa w sąsiednie jezioro; prąd tego potoku unosi z sobą ziarna piasku i leżące na dnie kamienie. Kiedyś zwir ten pokryje dno jeziora, i stanie się ono płytkim. W szklance wody tego potoku znajduje się bezgranicznie mała cząstka tego piasku, który jezioro zapełnił. Nie podobna jednej szklance wody, będącej bezgranicznie małą częścią tej siły, która działała w przeciagu olbrzymiego czasu, przypisywać skutek, który jest wpływem obiawu w jego całości.

My nie stoimy ponad historią, my ulegamy jej prawom. Na przewrót, do którego dążymy, my patrzymy jak na rezultat rozwoju historycznego i społecznych warunków. My przewidujemy go i staramy się, żeby nie zastał nas nieprzygotowanymi.

Skończyłem, sędziowie. Jedno mam tylko jeszcze do powiedzenia. Jakikolwiek wyrok nad nami zawinie, proszę Was, nie oddajcie losu mojego od losu moich towarzyszy-

szczy. Ja zostałem aresztowany wcześniej od wszystkich towarzyszy. Ale co przez nich dokonanym zostało, ja sam uczyniłbym, jeśli był na ich miejscu. Uczciwie służę swoim sprawie, i gotów jestem za nią życie poświęcić.

Mowa Waryńskiego była ilustrowana wielką ilością danych statystycznych i historycznych przykładów, które tutaj opuściliśmy.

(„Walka Klas”, Nr 8—9—10, maj, czerwiec, lipiec 1886 r., str. 28—30).

JAK UMIERALI PROLETARIATCZYCY

Warszawa, X Pawilon, dnia 30 stycznia 1886.

Posyłam Wam niektóre szczegóły z przedednia śmierci Kunickiego, Bardowskiego, Pietrusińskiego i Ossowskiego.

Zabrali ich tak nagle, żeśmy nie mogli się pożegnać z nimi, a potem zabroniono im nawet napisać do nas.

Gdy ich zabrano, Pietrusiński grał z Siroszewskim w szachy i wychodząc jeszcze mówił, żeby ich nie składać, bo przyjdzie dokończyć grę. Kunicki wykladał fizykę, a Ossowski uczył się geografii.

Pierwszą część nocy mieli oni księży u siebie; potem około północy pozwolono wszystkim czterem połączyć się w jednym numerze, gdzie też śpiewali pieśni rewolucyjne aż do samego rana. Pisali także dużo listów, ale tych — zdaje się — nie przepuszczają. Jeśd dano im, jeżeli który zażądał. W ogóle wcale nie okazywali trwogi przed tak bliską śmiercią.

Przy nakładaniu stryczka Kunicki krzyknął: „Niech żyje Proletariat!”

A Pietrusiński nawymyślał Brokowi i innym żandarmom. Tylko jeden Ossowski nie odezwał się.

Przy egzekucji była cała władza cytaeli: komendant, Brok, nasz zawiadowca i inni. Żandarmi opowiadają, że wychodząc na dziedziniec, wszyscy czterej krzyknęli: „Niech żyje rewolucja socjalna!”

Nie zapominajmy tego okrzyku!

(„Walka Klas”, Nr 8—9—10, 1886 r.).

ALEKSANDER HERTZ (New York)

O energii atomowej i paru innych sprawach

W dniu 10 marca roku 1947 Komisja Senatu Stanów Zjednoczonych uchwaliła większością 8 głosów przeciw jednemu rezolucję, zalecającą plenum Senatu zatwierdzenie Davida E. Lillienthala jako przewodniczącego Komitetu do Spraw Energii Atomowej. W ten sposób zakończył się rozdział jednej z najbardziej pasjonujących opowieści z dziejów współczesnej Ameryki. Nie jest to jednak jej rozdział ostatni. Po nim napewno przyjdą inne — możliwe, że jeszcze bardziej pasjonujące. Ale dla ich zrozumienia konieczna będzie znajomość tego pierwszego. Rozdział ten jest zaś ciekawy i dlatego, że jak w zwierciadle odbiły się w nim najistotniejsze zagadnienia i sprzeczności życia zbiorowego dzisiejszej Ameryki. L'Affaire Lillienthal zasługuje na to, byśmy dokładniej omówili wszystkie jej aspekty.

KOMISJA BADA

Zacznijmy od faktów podstawowych.

W dniu 28 października roku 1946 Prezydent Stanów Zjednoczonych Harry Truman powołał do życia Komitet do Spraw Energii Atomowej (Atomic Energy Commission) w następującym składzie osób: przewodniczący — David E. Lillienthal, długoletni przewodniczący Zarządu Dolny Rzeki Tennessee (Tennessee Valley Authority — TVA) oraz członkowie — William W. Waymack, były naczelny redaktor dziennika „The Des Moines Register and Tribune”, Sumner T. Pike, przemysłowiec i republikański polityk ze stanu Maine, Lewis L. Strauss, kontradmirał w stanie spoczynku, obecnie bankier nowotorski i wreszcie dr Robert Fox Bachner, znakomity fizyk, który zadaniami swymi wnie przyczynił się do wynalezienia bomby atomowej. Tworząc ten komitet, Prezydent kierował się uchwałą Kongresu (McMahon Bill), która kontrolę nad zastosowaniem energii atomowej przekazała ciału cywilnemu, działającemu z ramienia rządu federalnego.

Dobór osób, a w szczególności powierzenie Lillienthalowi roli najważniejszej, spotkało się z powszechnym aplauzem. Trumana chwaliła prasa wszelkich odcieni,

chwalili politycy, chwalili przywódcy ruchu robotniczego, chwalili świat naukowy. Zgodnie podnoszono, że Prezydent nie mógł znaleźć lepszego od Lillienthala kandydata na tak odpowiedzialne stanowisko. Lillienthal miał przecież za sobą trzynastolat pracy w TVA i osiągnął tu wyniki, o których wszyscy mówili w najwyższych superlatywach. A i pozostali członkowie komitetu byli dobrani w sposób bardzo rozważny. W tym małym zespole były reprezentowane obie partie, najważniejsze rejonu Ameryki, były reprezentowane za wody, budzące szacunek i uznanie. I nikt nie wątpił, że sprawa zatwierdzenia Lillienthala przez Senat będzie czystą formalnością, że znajdzie on tam dla siebie wielką szkodę. Komitet bez obaw o wynik głosowania w Senacie od razu po nominacji Prezydenta zabrał się do pracy.

Naturalnie każdy wiedział, że przeciw Lillienthalowi jeden głos z pewnością odezwie się w Senacie. W Waszyngtonie dużo dowcipów opowiadano sobie na temat nienawiści, jaką do przewodniczącego TVA żywi senator ze stanu Tennessee Kenneth MCKellar. Któż jednak zbyt poważnie traktował animozję tego blisko osiemdziesięcioletniego starca, któż nie pamiętał, że źródła ich są natury czysto personalnej, że powstały na tle bardzo lokalnych kontrowersji? Prawda — mówiono — MCKellar był w Partii Demokratycznej osobą wpływową, ale obecnie jest to tylko zdziwaczka staruch, o którym brzydki i lekceważący wyrażają się nawet jego własni koledzy z Południa. A Lillienthal zdobył sobie niezwykły mir nie tylko wśród ludności stanu MCKellara, ale i wśród ludności wszystkich siedmiu stanów, korzystających z dobrodziejstw TVA.

Trzy miesiące upłynęły od dnia, w którym Prezydent podpisał nominację Lillienthala, do dnia, w którym komisja Senatu przystąpiła do rozważenia tej nominacji. W ciągu tych 3 miesięcy w Ameryce nastąpiły zmiany bardzo poważne. 5 listopada roku 1946 odbyły się wybory, które Republikanom dały większość w obu izbach Kongresu. Przez Stany Zjednoczone zaczęła płynąć fala reakcji i fala ta przede

wszystkim zalała wzgórze kapitolinskie w Waszyngtonie.

Każdy kandydat Prezydenta, zanim kandydatura jego będzie poddana głosowaniu na plenum Senatu, musi być najpierw zalecony przez odpowiednią komisję Senatorską. Komisja swój werdykt wydaje na podstawie tak zwanych przesłuchów (hearings), odbywających się publicznie. Przed komisją może stanąć każdy obywatel, wypowiadając swe argumenty za lub przeciw osobie kandydata. W „przesłuchach” w sprawie Lillienthala główną osobą stał się MCKellar, który — choć nie członek komisji — został przez nią upoważniony do zadawania pytań.

Przez sześć tygodni Senator z Tennessee „badał” Lillienthala i „badał” tych wszystkich, którzy zgłosili się do komisji, by złożyć zeznania. Wytrwale MCKellar zadawał Lillienthalowi pytania, czy jest komunistą, czy sprzyja komunistom, czy ich toleruje w TVA, czy ma sympatie dla Związku Radzieckiego. Ba, pytania MCKellara odnosiły się do faktu, że Lillienthal jest synem rodziców, urodzonych w Czechosłowacji, a Czechosłowacja — wszyscy o tym dobrze wiedzą — znajduje się w orbicie wpływów sowieckich. Czciwego Senatorsa z Tennessee nie przekonała ta drobna okoliczność, że ojciec Lillienthala ma lat 78, matka — 72 i że oboje kraj swego urodzenia opuścili w tych czasach, gdy sam MCKellar był człowiekiem bardzo młodym!

Naturalnie „zarzutów” takich nikt rozsądny nie mógł brać poważnie. Lillienthal jest typowym liberałem amerykańskim, czołową postacią „New Deal’u”. Ale na pewno nie jest komunistą. Odpowiadając MCKellarowi, wyłożył on w formie bardzo pięknej swe credo demokratyczne, doskonale utrzymane w duchu tradycyjnego jeffersonowskiego wyznania wiary. Najbardziej konserwatywne pisma amerykańskie wydrukiwały na miejscach czołowych tę deklarację Lillienthala, nazywając ją jednym z najpiękniejszych dokumentów amerykańizmu. Za Lillienthałem kategorycznie wypowiedział się Prezydent, w sposób wysoce elokwentny wypowiedzieli się za nim Sekretarz Wojny Robert P. Patterson i Sekretarz

Marynarki James V. Forrestal. Sympatyka komunizmu nie poparł by chyba Bernard Baruch, ani „New York Times”, ani „New York Herald Tribune”, ani znany publicysta Joseph Alsop, który w obronie Lillienthala napisał płomienny artykuł. I komunisty nie poparby kościół katolicki. A przedstawiciele tego kościoła przypomnieli komisji Senatu, że Lillienthal, choć Żyd, został w roku 1946 wyróżniony przez arcybiskupa nowoorleańskiego jako najwybitniejszy Amerykanin żyjący w danym roku. Protestancka Rada Kościoła Chrystusa i Rada Biskupów Kościoła Metodystów przyłączyły się do aprobaty, jakiej katolicy udzieliłi kandydaturze Lillienthala. I od początku było rzeczą powszechnie wiadomą, że kandydaturze tej sprzyja nie kto inny, jak senator Vandenberg.

A jednak „zarzuty” MCKellara okazały się bardziej poważnymi, niż przypuszczali ci, którzy kpiłi ze zdzienniałego starca z Tennessee. MCKellar wiedział, co robi. Pytaniami swymi torował drogę dla innych. Ci zaś czekali tylko na sposobność, by ze sprawy nominacji Lillienthala zrobić zagadnienie znacznie szersze, ogólniejsze, poważniejsze.

Skoro przez tyle tygodni walczy się najbardziej bzdurne argumenty, to w każdym razie pozostaje się wrażenie, że „coś z tym Lillienthałem jest nie w porządku”. A gdy powstaje takie wrażenie, to można już na nim budować rzeczy bardziej prze-myślne i dalej sięgające. Tak rozumowała grupa skrajnie reakcyjnych Republikanów, sekundowana przez grupę równie reakcyjnych Demokratów. Atak się rozpoczął, gdy przeciwko Lillienthalowi wypowiedzieli się tacy czołowi przywódcy republikańscy, jak Taft, Wallace H. White i Owen Brewster z Maine oraz Kenneth S. Wherry z Nebraska.

Nie mówili oni o „komuniźmie” Lillienthala. Wysuwali inne zarzuty: że Lillienthal jest arbitralny, że nie umie współpracować z innymi, że nie wykazywał należytego szacunku dla Kongresu. Senator Bewster dowodził, że skoro pod adresem Lillienthala są wysuwane zarzuty, to jest on osobą budzącą wątpliwości i że wobec tego nie na-

daje się na proponowane stanowisko. Walter Lippmann nie bez słuszności zauważył, że w świetle stanowiska Senatora z Maine żadna kandydatura nie może być brana pod uwagę, albowiem pod adresem każdej będą wyunięte jakieś zastrzeżenia i każda z tego względu stanie się „wątpliwą”. Rozważny Lippmann dodał, że taka argumentacja w ogóle uniemożliwia funkcjonowanie aparatu państwa demokratycznego, opartego na zasadzie większości i mniejszości, różniących się między sobą ocenami idei i ludzi.

Jednakże wkrótce zaczęły przeważać argumenty innej natury. Często mówić wyraźnie, że Lillenthal jest zdecydowanym zwolennikiem gospodarki państwowej, że odnosi się wrogo do przedsiębiorstw prywatnych, że — słowem — uosabia największe grzechy „New Dealu”. Senator Styles Bridges, Republikanin z New Hampshire, szczerze mówił, że po wyborach roku 1946 nie ma w Ameryce miejsca na ludzi w rodzaju Lillenthala.

To już były argumenty zasadnicze. Sprowadziły one l'affaire Lillenthal na płaszczyznę wielkiej gry politycznej i ideologicznej. Nie można było wątpić — reakcja amerykańska postanowiła wyszukać sprawę Lillenthala dla definitywnego rozprawienia się z puścizną po erze rooseveltońskiej. I to właśnie za sprawę tę uczyniło jedną z najdonioślejszych wydarzeń dzisiejszej Ameryki. I choć w tym wypadku reakcja amerykańska poniosła porażkę, choć Lillenthal osobiście odniósł tak piękne zwycięstwo, to jednak sprawa Lillenthala trwa

nadal, ciągle symbolizując ten stan zaciętej walki, jaka się toczy o przyszłość Ameryki. Zanim przejdziemy do omówienia najważniejszych aspektów l'affaire Lillenthal, zatrzymajmy się przy osobie byłego przewodniczącego TVA i przy jego dziele.

II TVA

Nawet przeciwnicy mówią o Lillenthalu jako o jednym z najwybitniejszych żyjących Amerykanów. To, co stworzył on na terenie Zarządu Doliny Rzeki Tennessee, pozostanie jako wielki pomnik współczesnej cywilizacji amerykańskiej. Lippmann nie jest odosobniony w przekonaniu, że wyniki, osiągnięte przez Lillenthala w TVA, w sposób szczególny kwalifikują go do roli kierowniczej w dziedzinie produkcji i zużycia energii atomowej. Lillenthal — powiada Lippmann — nie jest jedynym Amerykaninem, obdarzonym wyjątkowym zasobem energii i talentów organizatorskich. Ale Lillenthal jest jedynym Amerykaninem, który dzięki swej pracy w TVA zdobył doświadczenie, dające się zastosować przy produkowaniu i użytkowaniu energii atomowej. Zdanie Lippmanna jest — jak wiemy — podzielane przez Prezydenta, przez Sekretarza Wojny i Marynarki, przez Bernarda Barucha, Senatora Vandenberg, przez amerykańską świątynię nauki, przez ruch robotniczy, kościół katolicki, kościoły protestanckie, przez najbardziej odpowiedzialne i poważne ośrodki amerykańskiej opinii publicznej. Nie jest jednak podzielane przez grono wpływo-

wych Senatorów i przez tych, którzy za nimi stoją.

Lillenthal jest człowiekiem w sile wieku. Urodził się w roku 1899 w stanie Illinois. Nie jest naukowcem, jest z wykształcenia i zawodu prawnikiem. Dużą jednak część swego życia spędził na służbie publicznej — stanowej (w stanie Wisconsin) i federalnej. Mówi się o nim jako o jednym z najwybitniejszych, najbardziej bezinteresownych i lojalnych urzędników, jakich Stany Zjednoczone kiedykolwiek posiadały. Ocena wyjątkowa w kraju, w którym kariera państwowa — jeśli chodzi o ludzi prawdziwie zdolnych — jest uważana za coś służącego tylko jako przejściowe zacieplenie. Wiadomą jest też rzeczą, że Lillenthal stale odrzucał najbardziej ponętne propozycje, jakie otrzymywał od przedsiębiorstw prywatnych. Nie chciał porzucić TVA, choć miał tam płacąc niewspółmiernie mniejszą od proponowanej mu przez firmy prywatne. To też w Ameryce rzecz wyjątkowa. Lillenthal stał się symbolem ofiarności na rzecz sprawy publicznej, symbolem człowieka, który w służbie dla ogółu widzi powołanie swego życia.

W Europie bardzo mało się wie o Zarządzie Doliny Rzeki Tennessee. Ale i w Ameryce nie wszyscy zdają sobie należycie sprawę z rozmiarów tej kolosalnej organizacji i z jej istotnej roli. Najwięcej o tym wie ludność tych siedmiu stanów, które są objęte zakresem działań TVA. Ludność ta z własnego codziennego doświadczenia mogła się dowiedzieć, czym jest TVA i jaki tu był udział Davida Lillenthala.

Geneza TVA pozostaje w najściślejszym związku z kilkoma faktami i z kilkoma ideami. Pierwszym z tych faktów jest szybkie wyczerpywanie się bogactw naturalnych Stanów Zjednoczonych. To zaś z kolei jest następstwem nie tylko kolosalnego ich użytkowania, ale i lekkomyślności i niedbałości przy ich eksploatacji. Gdy pierwsi osadnicy znaleźli się wobec olbrzymich skarbów nowego kontynentu, sądzili, że są to skarby niewyczerpane. Przy ich eksploatacji stosowane były metody gospodarki rabunkowej. Stosowane też one były przez długie lata, właściwie aż do naszych czasów. Na tym tle zrozumiałe jest powiedzenie, że marnotrawstwo stało się narodową cechą amerykańską. Na Południu uprawiano tytoń i bawełnę — rośliny, które w szybkim tempie zupełnie wyczerpywały glebę. Plantatorzy niewiele tym się wzrusza; ziemi było dużo — gdy była wyczerpana w jednym miejscu, plantacje przenoszono na inne. Stan lasów amerykańskich jest rozpaczliwy. Po dziewięćdziesięciu latach Środkowego Zachodu w ciągu jednego stulecia nie zostało śladu. Na Wschodzie stan zalesienia przedstawia się fatalnie. I jedynie na Północnym Zachodzie coś się pozostało z dawnych potężnych borów i lasów. Towarzystwa kolejowe i kopalniane, banki i „korporacje” przemysłowe rywalizowały ze sobą w prowadzeniu gospodarki jak najbardziej rabunkowej, nie myśląc o przyszłości, obliczonej jedynie na jak najszersze osiągnięcie jak największego zysku. Zasadniczą cechą kapitalizmu amerykańskiego było to, że w kraju macierzystym stosował metody gospodarki kolonialnej.

Oczywiście trzebieżenie lasów, ciągła uprawa roślin wyczerpujących glebę i inne podobne metody gospodarowania pomagały niszczytelny procesom, zachodzącym w samej przyrodzie. Rzeki amerykańskie, pozostawione samym sobie, płynące dolinami ogołoconymi z drzew, zalewały pola o koliczne, niszczyły dobytek ludzki, powodowały erozję. Na setki milionów dolarów oblicza się w Ameryce roczne straty, powodowane przez same tylko powodzie i erozje.

O tym, że trzeba się zabrać do zabezpieczenia szybko ginących zasobów naturalnych, mówiono już w drugiej połowie wieku XIX. Ale dopiero Teodor Roosevelt na prawdę uderzył na alarm i z postulatu konserwacji amerykańskich zasobów naturalnych uczynił jeden z najważniejszych punktów swego programu politycznego. Dzięki też Teodorowi Rooseveltowi został opracowany pierwszy poważny plan akcji federalnej w zakresie ochrony lasów i gleby, walki z powodziami, regulacji rzek itp. Były to pierwsze oznaki, że epoka kapitalizmu kolonialnego ma się w Stanach Zjednoczonych ku końcowi.

Na mniejszą skalę podobne programy były wprowadzane w życie przez niektóre stany. Między innymi wiele pod tym względem działo się w stanie New York, gdy gubernatorem tu był Franklin Delano Roosevelt. Drugi Roosevelt w stopniu nie mniejszym niż pierwszy był świadom, że dla ratowania amerykańskich zasobów naturalnych potrzebna jest akcja szybka i energiczna. Podobna akcja była prowadzona w stanie Wisconsin i właśnie tam Lillenthal zdobył swe pierwsze doświadczenie.

A więc pierwszy fakt — niszczenie i zużycie amerykańskich zasobów naturalnych i pierwsza idea — konieczność programu konserwacyjnego. Drugim faktem była rzeka Tennessee.

Ten dopływ rzeki Ohio (która z kolei jest dopływem Missisipi) jest potężnym potokiem górskim, długością swą dorównującym Wiśle. Jest to rzeka ogromna, bardzo kapryśna, pełna wodospadów i porohów, rzeka, która wpływa na losy przeszło siedmiu milionów ludzi, żyjących w siedmiu stanach Południa.

O rzecę tę znacznie więcej można było powiedzieć złego niż dobrego. Nurt tego olbrzymiego, dzikiego, kapryśnego potoku porwał żyzną ziemię z okolicznych pól, wywołując je, zubożając rolników. Wylewy Tennessee były plagą doliny. I całe dorzecze miało opinię jednego z najbardziej niebezpiecznych, najbardziej zacofanych, najsrożej przez los doświadczonych zakątków Stanów Zjednoczonych. Jeżeli gdzie program konserwacyjny, połączony z planowym opanowywaniem sił przyrody i z wyzyskaniem ich na dobro człowieka, mógł być zastosowany, to właśnie wobec tego dzikiego potoku górskiego. To była idea,

Czy pan jest surrealistą?

Kiedy przed paru miesiącami bawilem w Pradze Czeskiej, tamtejsi literaci natychmiast po wstępnych przywitaniach — zadawali mi jedno i to samo pytanie: Czy pan jest surrealistą? Byli widocznie rozczarowani, słysząc przeczącą odpowiedź. Powtórzyło się to samo z pisarzami słowackimi, których spotkałem na jakimś przyjęciu w Genewie. Surrealizm nie wygasł jeszcze we Francji, a w niektórych krajach — teraz dopiero dochodzi do głosu. Dziwny jest ten spóźniony surrealizm słowacki, okazy jego zarówno w poezji jak i w malarstwie nie są zbyt budujące, zdradzają prowincjonalny, niekiedy rozbrajający naiwny stosunek do pierwowzoru. U nas surrealizmu w ścisłym tego słowa znaczeniu prawie nie było, choć w skrajnych osiągnięciach naszego romantyzmu mógł kierunek ten łatwo znaleźć ojcostwo.

Niewątpliwie, nie wyzbyte w ciągu dwudziestolecia, napoczęte zaledwie treści będą jeszcze czas jakiś próbowały rozwinąć się w naszej literaturze. Pewne zdobycze formalne przenikną w tym, czy innym kształcie do liryki i nie ma powodu tamować tego naturalnego procesu, mimo, że jest spóźniony. Sądzę, że należy skierować w odpowiednie łożysko płynny jeszcze stan poszukiwań poetyckich. We Francji surrealistyczne skrzydła nie zaskodziły powieści Aragona „Dzwony z Bazylei” i zelektryzowały jego klasyczne w strofice i bogatych rymach poematy.

U nas niejako obowiązujący jest postulat ascezy formalnej, postawiony niegdyś przez Mickiewicza. Surowość z jaką traktuje nas historia, sprawia, że wszelkie bogactwo formy, wszelki kunszt poetycki oceniany jest często ujemnie, jakby piękno było występkiem. Ja sam, wstrząśnięty wydarzeniami wojny i okupacji przykładałem w początkach naszej nowej niepodległości zbyt ostre miary do poezji, odsądzając od racji bytu wszystko, co trąciło „poetycznością”, wszystko, co nie wyrastało z ostatecznego porachunku poety ze sobą i światem. Ale liryka nie może żyć stale ostatecznością, musi żywić się ze źródeł lżejszych, nie nasyconych solą.

Dzisiaj, wobec rozpowszechniającego się nęgninnie bezkształtu, wobec lekceważenia jakichkolwiek dyscyplin w poezji, zwłaszcza najmłodszej, popierałbym każdą racjonalną próbę wyjścia z tej chmury ekspresjonistycznej.

Rozumiem, że na przykład kunsztowne wiersze Pawła Herta mogą budzić zastrzeżenia, u nas, gdzie tego typu poezja nie jest lubiana, jeśli jednak rzucają się na nią po-

czątkujący literaci, którzy nie mają pojęcia o technice poetyckiej, rzecz nabiera szczególnego charakteru. Jeśli chcemy podnieść wartość nieszere liryki, uczynimy wszystko, by nasi młodzi poeci mogli spokojnie ulepszać swoje rzemiosło, nie narzekając na imię z propozycjami takiej czy innej tematyki, czy formy.

Nie znaczący to oczywiście, abyśmy nie mieli dążyć — dla dobra poezji — do rozszerzenia kręgu tematów i zagadnień, których ubóstwo w destylowanej nażbyt poezji, zwłaszcza francuskiej lat międzywojennych, doprowadziło do pewnej oschłości.

Liryka naprawdę współczesna nie powinna stronić od tematyki patriotycznej, politycznej, społecznej, nie powinna poprzestawać na biernej kontemplacji urody zjawisk. Należałoby raz już wreszcie zerwać z jałowym urokiem liryki czystej i przełamać kanon impresjonistyczny. Poezja stanie się znowu humanistyczna, komunikatywna, potrzebna, gdy zagarnie w posiadanie utracone niegdyś obszary, do których wstępu bronili schemat poetyki posymbolicznej.

Zgadzam się zupełnie z Czesławem Miłoszem, który w swoim artykule o poezji, ogłoszonym w „Twórczości” (październik 1946) domagał się prawa obywatelstwa dla elementów publicystyki, dydaktyki, humoru i persyflażu w liryce.

Sądzę również, że portret poety z lat przed drugą wojną, narysowany ostrymi liniami przez Miłosza odpowiada prawdzie: „...Stwór o głowie pokrytej guzami matematycznymi i o nadmiernie wielkich soczewkach oczu, przy atrofii serca i wątroby... Taka poezja polega przede wszystkim na notowaniu wrażeń zmysłowych w pierwszym rzędzie wzrokowych, a intelekt spełnia rolę inżyniera wrażeń, a więc przedmiotem jego zainteresowań jest raczej sam utwór poetycki niż szeroki świat. Rodzicami chrzestnymi tej metody są teoretycy poezji czystej, którzy jak Edgar Poe, twierdzili, że poezja nie powinna zapuszczać się w dziedzinę namiętności i w dziedzinę cnoty”.

Pomijam w tej chwili jednostronne i błędne poglądy Miłosza na romantyzm, wyrażone w tym samym artykule, pomijam fakt zdumiewający, że Miłosz nie dostrzegł w kraju innej poezji. Mimo tych braków i pomyłek, artykuł autora „Ocalenia” zasługuje na baczną uwagę. Tymczasem przemilczano go zupełnie. Jeszcze jeden dowód lekceważenia sprawy poezji w

kraju, który więcej niż jakikolwiek inny zawdzięcza poezji.

Wiem, że wysunięty tu postulat rozszerzenia zakresu treści humanistycznych w liryce, wymaga od poetów wielkiej sprawności technicznej. Dlatego zapewne, nie tylko z obawy przed ztrudą błędnie pojętej „nowoczesności” ograniczają się młodzi poeci do drobnych impresyj. Ci, którzy chcą wyjść poza ten wąski zakres, ponoszą klęskę, w tym wypadku jaskrawszą, niż w liryce czystej. Ale świat poezji należy do odważnych. Do odważnych i do pracowitych. O tę drugą zaletę trudniej u nas niż o pierwszą. Drogi poezji są różne i często okłonne. Nikt nie ma jednego klucza, który otwiera niebo poezji. Cierpliwość i wyrozumiałość są w tej sprawie szczególnie wartościowymi cnotami. Wydaje mi się, że cnoty tej pozbawiony jest młody, wybitnie utalentowany pisarz Tadeusz Borowski, gdy w artykule o literaturze współczesnej, zamieszczonym w „Głosie akademickim”, życzy sobie nagłych radykalnych zmian w literaturze. Również nie słusznie zwręca pojęcie tematyki do określonych spraw aktualnych. Do współczesności dochodzi się różnymi drogami. Poemat miłosny może być bardziej współczesny od wiersza o węglu śląskim. Poeta nie jest kronikarzem, ani felietonistą współczesności. Perspektywy, które otwiera, nie zawsze muszą być zgodne z perspektywami aktualnie uznawanymi. Jest to także zagadnienie formy.

Pomimo, że nie podobna oddzielić kształtu poetyckiego od treści, którą emanuje, nie pokrywają się te sprawy i nie przystają do siebie szczerze. Właśnie surrealizm może posłużyć za przykład. Najwybitniejsi poeci, którzy ruch ten we Francji reprezentowali, przeszli do komunizmu z nadrealistycznym dziedzictwem. W Polsce w chwili obecnej ani surrealizm ani egzystencjalizm nie mają widoków i podstaw do rozwoju. Pierwszy zaprawdę nadrealistyczny polski poemat „Samuel Zborowski” Słowackiego, zawiera starą anielskimi głosami wypowiedzianą treść klasy szlacheckiej. Poemat ów rzuca światło na to, czym mógłby być polski surrealizm. Bo jeśli surrealizm francuski był u swych podstaw poniekąd wyrazem buntu drobnomieszczaństwa, nadrealizm polski miałby antenatów w dziedzictwie feudalnym. Współczesna poezja polska musi treści tego kierunku odrzucić — nie nie tracąc z piękności — w imię dobrze pojętego humanizmu i wierności prawom procesu historycznego, który odbywa się w naszych oczach. Mieczysław Jastrun

która nasuwała się zwolennikom planów obu Rooseveltów.

Urzeczywistnienie tej idei ułatwił trzeci fakt — istnienie w dolinie fabryki azotanu amonu w Muscle Shoals. A fabryka ta miała swoją historię, godną zanotowania.

Fabryka w Muscle Shoals była zbudowana w czasie pierwszej wojny światowej na użytek wojny. Była jedną z wielu podobnych fabryk, budowanych wtedy przez rząd federalny. Po wojnie, gdy rządził Republikanie, te państwowe fabryki były odsprzedawane przedsiębiorcom prywatnym. Oczywiście — za grosze. „Inicjatywa prywatna” doskonale wyszła na takim likwidowaniu pozostałości z wojny. I rząd i Kongres były zgodne w podstawowym republikańskim wyznaniu wiary — Ameryka wraca do stanu „normalnego”, władze federalne nie mogą popełniać herezji zajmowania się produkcją przemysłową.

Jednakże ze sprzedażą fabryki w Muscle Shoals były różnorodne trudności. Sprawa ustalenia dalszych jej losów ciągnęła się bardzo długo, aż przyszyły wybory roku 1932 i zaczęła się nowa era rooseveltowska.

A trzeba dodać, że fabryka w Muscle Shoals była obiektem bardzo poważnym, nowoczesnie wyposażonym, posiadającym duże znaczenie dla farmerów doliny Tennessee i całego dorzecza. Obiektem tym bardzo żywo zainteresował się wielki starzec liberalizmu amerykańskiego Senator George W. Norris z Nebraski. Była to postać rzeczywiście niezwykła, wspaniale reprezentująca najpełniejsze tradycje amerykańskich ideałów postępowych. Norris był wielkim zwolennikiem programu konserwacyjnego, prowadzonego przez władze federalne w skali ogólnokrajowej, był ponadto zwolennikiem gospodarki planowej i przeciwnikiem anarchizujących metod, od stulecia przez kapitalizm amerykański uważanych za kwintesencję mądrości narodowej. Wieloletni Republikanin, Norris przeszedł na stronę Roosevelta i stał się jednym z czołowych reprezentantów filozofii „New Deal”.

Norris sądził, że fabryka w Muscle Shoals, dopóki jest w rękach państwa, może być obiektem użyteczności publicznej i może posłużyć za punkt wyjściowy tworzenia systemu prac, mających na celu racjonalne wyzyskanie bogactw doliny rzeki Tennessee oraz ich konserwację. Był to zaczątek idei TVA. Ideę tę gorąco poparł Prezydent Roosevelt. W rezultacie 18 maja roku 1933 Kongres Stanów Zjednoczonych przyjął ustawę, powołującą do życia nowy organ federalny — Zarząd Doliny Rzeki Tennessee. Na czele tego Zarządu został postawiony David E. Lilienthal, który w osobie Norrisa, a wkrótce i Roosevelta, znalazł sobie gorących przyjaciół i protektorów.

To, co dotąd było powiedziane o TVA, może dać czytelnikowi pierwsze pojęcie o zadaniach i charakterze tej kolosalnej organizacji. Postarajmy się w formie możliwie najbardziej zwięzłej dać obraz tej działalności.

Celem, jaki Kongres postawił przed Zarządem Doliny Rzeki Tennessee, jest pełne i wszechstronne wyzyskanie oraz rozwinięcie zasobów naturalnych tej doliny tak, by zapewnić maksimum postępu jej mieszkańcom i całemu krajowi. Dla osiągnięcia tego celu Zarząd otrzymał odpowiednie środki organizacyjne, techniczne i pieniężne.

Podstawą jest sama rzeka. System osiemnastu kolosalnych zapór wodnych, połączonych z systemem elektrowni, basenów

i kanałów, zamienił ten potok w olbrzymie źródło energii elektrycznej, uczynił z niego wielką arterię komunikacyjną, zabezpieczył okolice przed powodzią, umożliwił przeprowadzenie na skalę gigantyczną robót irygacyjnych. Najbardziej uderzającą rzeczą w tych poczynaniach była ich wszechstronność. Każde z nich bowiem i wszystkie one razem miały na celu osiągnięcie maksimum rezultatów, maksymalne zaspokojenie potrzeb ludzkich.

Wyliczmy najważniejsze z tych osiągnięć: **energia elektryczna** — zdolność produkcyjna TVA obecnie przewyższa 2,800,000 kilowatów, co umożliwiło przeprowadzenie całkowitej elektryfikacji doliny, zaopatruje wszystkie jej osiedla w tanie prąd przyczynia się do jej daleko posunętego uprzemysłowienia

walka z powodzią — system zapór wodnych umożliwił całkowite opanowanie tej plagi;

walka z erozją i konserwacja gleby — usunięcie powodzi i umocnienie brzegów rzeki stało się punktem wyjściowym dla wielkiej akcji, mającej na celu konserwację gleby, lasów i łąk. Dolina została zalesiona, przeprowadzono szereg kanałów nawadniających, a równocześnie TVA zbudował szereg fabryk nawozów sztucznych, tanio zaopatrujących farmerów doliny. W parze z tym idzie wielka akcja Instruktorstwa, prowadzona przez TVA lub przez nich popierana. Stworzono szereg farm wzorowych, wysłała się w teren zastępy instruktorów rolnych i hodowlanych, popierała działalność przysposobienia rolnego;

uszlusowanie rzeki — Tennessee dzięki systemowi zapór wodnych stała się potężną arterią komunikacyjną. Zbudowano szereg portów rzecznych, dających przystań nawet statkom oceanicznym;

rybołówstwo — system basenów przy zaporach umożliwia racjonalną hodowlę ryb;

akcja mieszkaniowa — TVA stał się pionierem nowoczesnej akcji mieszkaniowej i budowlanej w dolinie. Wzorem stały się domy i osiedla, budowane dla robotników TVA;

akcja kulturalna — system parków i dziedzińców, rozmieszczonych wzdłuż brzegów rzeki, stał się podstawą dla organizowania wczasów na skalę dotąd w tej części Stanów Zjednoczonych nieznaną. TVA stworzył system szkół wzorowych, ośrodków kształcenia dla dorosłych, klubów, świetlic, bibliotek itd.;

W tym olbrzymim przedsięwzięciu uderza to, że stanowi ono system, że jest logicznym i wszechstronnym powiązaniem całego szeregu celów i środków ich realizowania.

Jest to przedsięwzięcie federalne. Po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych państwo wzięło na siebie takie zadanie, przeprowadziło je na taką skalę i z takimi wynikami. TVA udowodnił Ameryce, że w życiu gospodarczym możliwe jest wprowadzenie zasady planowania i że to planowanie może być prowadzone przez państwo. TVA nie jest oczywiście przedsięwzięciem socjalistycznym. Jednym z jego zadań jest służyć gospodarce prywatnej. TVA stale powołuje się na to, że w wyniku jego prac mógł się w dolinie rozwinąć cały szereg przedsiębiorstw prywatnych. Niemniej jednak, choć TVA nie wychodzi z ram gospodarki kapitalistycznej, to w warunkach amerykańskich wywiera on pośredni wpływ wychowawczy, przyzwyczajając społeczeństwo do form i treści gospodarki uspołecznionej.

Cała ta gigantyczna praca jest związana z postacią Davida Lilienthala. Nie ulega wątpliwości, że bez niego TVA nie byłoby tym, czym jest obecnie. Lilienthal całą swą duszę włożył w tę organizację, poświęcając jej najlepsze lata swego życia. Nazwisko jego jest czczone w tej dolinie, a reszta Ameryki widzi w nim postać na miarę wyjątkową. Przekonamy się jednak, że te właściwości Lilienthala i charakter jego dzieła musiałby z konieczności prowadzić do konfliktu z siłami, którym samo istnienie TVA i jego przewodniczącego rzucały wyzwanie.

Lilienthal owoce swych doświadczeń podsumował w książce, noszącej tytuł: „TVA — Democracy on the March”. Jest

to książka ważna pod wieloma względami. Przede wszystkim poznanie jej jest obowiązkiem dla każdego, kto chce zrozumieć istotę „New Deal”u. W żadnej bowiem innej pracy filozofia „New Deal”u nie została ujęta tak jasno i sugestywnie, jak w tej niewielkiej książce kierownika TVA. Mamy tu jasno wyłożone credo liberalizmu amerykańskiego, z jego wiarą w prostego człowieka, z jego przekonaniem o możliwości szumanizacji kapitalizmu i pogodzenia go z gospodarką planową, służącą ogółowi. To, co w „New Deal”u było nałwem i powierzchnowym, wszystkie jego sprzeczności i niekonsekwencje, dadzą się bez trudu odnaleźć w tym kapitalnym dokumencie, jakim jest książka Lilienthala. I niewątpliwie można mieć wiele zastrzeżeń pod adresem filozofii tego niezwykłego człowieka. Musimy się jednak zgodzić z ogromną większością Amerykanów, że jest to człowiek niezwykły.

Walter Lippmann miał podstawy do twierdzenia, że doświadczenie, jakie Lilienthal nabył w TVA, czyni z niego jedynego możliwego kandydata na stanowisko człowieka, który ma stanąć na czele największego przedsięwzięcia amerykańskiego — produkowania energii atomowej i zastosowywania jej dla celów przemysłowych. Trzeba też pamiętać, że Lilienthal był współpracownikiem komisji, opracowującej słynny plan Barucha—Achesona i że od niego pochodzą najważniejsze partie tego planu. I bez względu na to, jak ten plan ocenimy, bez względu na kontrowersje, jakie on zrodził, przyznać mu musimy ogromny rozmach i zdolność wizyjnego ujmowania przyszłych zagadnień.

Ale jak to już mówiliśmy, TVA był wyzwaniem rzuconym pewnym siłom społeczeństwa amerykańskiego. W tym większym stopniu wyzwaniem dla nich była kandydatura Lilienthala na stanowisko przewodniczącego komitetu dla spraw energii atomowej. Burza musiała się rozprętać. Zaczęła się l'affaire Lilienthal.

(D. a. n.)

Aleksander Hertz

LIST O EGZYSTENCJALIZMIE

Paryż, w kwietniu 1947

Drogi przyjacielu!

Piszesz, że u Was w kraju wszyscy interesują się egzystencjalizmem, nie wiedząc, co to słowo właściwie znaczy. Piszesz, że u Was pełno jest najrozmaitszych pół i ówierc intelektualistów, którzy zanudzają wszystkich znajomych sensacyjnymi odkryciami na temat ostatecznego przezwyciężenia determinizmu, powołując się na Sartre'a i jego kolo. Pytasz, czy to prawda, że egzystencjalizm zwrócił człowiekowi wolność, wyrwując go z łańcucha przyczynowości, do którego przykuła go niegdyś filozofia materialistyczna. Wyrażasz swoje zdziwienie, że ludzie, których znałeś z babiego lata sanacji jako politycznych czy „światopoglądowych” sympatyków „nowego średniowiecza”, irracjonalizmu i innych metafizycznych podbudówek różnych postaci krajowego faszystwu zachowują dotąd dobry humor i przykrą (jak piszesz) bezczelność intelektualną, „podtrzymując wiarę w egzystencjalizm swoją wciąż żywą nadzieję odegrania się i ufając, że nowy kierunek filozoficzny pozwoli im jeszcze efektywniej zasłonić a nawet przystroić właściwe im braki kultury naukowej”.

Ostatnie pytanie zrazu zdziwiło mnie; przypomniałem sobie najrozmaitsze humanitarne i niewątpliwie postępowe enuncjacje Sartre'a. Nie — pomyślałem oni w kraju mają zbyt wyczułone nosy polityczne, dopatrując się reakcji w czystej filozofii, jaką jest egzystencjalizm. Ale potem przypomniałem sobie — to przyszło nagle jak olśnienie — przypomniałem sobie schemat dialektyczny młodego intelektualnego korporenta: nie można sprowadzić istoty żywej do materii martwej; najnowsze badania naukowe wykazały, że atomy mają wolną wolę (teraz następował hiatus myślowy). Średniowiecze miało rację i żadnego renesansu nie było, a jeżeli był, to był

zły. Wiara w postęp ludzkości jest masoństwem, racjonalizm jest przewyżniony, zaczyna się dla ludzkości nowa era: Emocjonalizm, faszizm, irracjonalizm. Tak, tak, pamiętam doskonale te przykre twarze naszych młodych myślicieli, którzy po wysłuchaniu odczytu o „końcu determinizmu” i nowych kierunkach filozofii szli do baru, aby posiliwszy się paroma kieliszkami przetłumaczyć wywody teoretyczne na realne kategorie aktualnej rzeczywistości.

No, więc przyznaję. Twoje pytanie i zawarta w nim troska zaniepokoiły mnie. Chciałbym i choć powiedzieć wszystko, co wiem na ten temat, ale przyznaję, że przystępując do rzeczy widzę od razu same trudności. Po pierwsze — Sartre zdradza sympatie raczej do obozu postępowego, po wtóre nikt we Francji nie atakuje go tak silnie jak obóz katolicki i mieszczański, jak wreszcie unieszkodliwieni na razie krypto-faszyci. Zarzucam mu się, że jest pornografem, że „nie rozumie uśmiechu dziecka”, że jest materialistą. No tak, ale z drugiej strony (z lewej strony) nie podnosi się żaden głos w obronie. Wręcz przeciwnie. Na zebraniach i odczytach postępowej „Narodowej Unii Intelektualnej” mówi się wciąż o filozofii egzystencjalnej jako nowej i szkodliwej fali irracjonalizmu, niebezpiecznej dla wielkiej tradycji kultury francuskiej, dla tradycji Kartezjusza i Voltaire'a. Kartezjusz i Voltaire? Katolik i ateusz? Czy prelegent, który jednym oddechem wezwał tych dwóch wielkich myślicieli, by szli razem na oświecenie tradycji, zagrożonej przez irracjonalizm, nie pomylił się? A może połączył w jednym zaproszeniu oba nazwiska dla względów retorycznych, nieuprawnionych, demagogicznych? Ale nie, powszechność i intensywność, z jaką powołuje się we Francji na aurytety tych dwóch filozofów w atakach na egzystencjalizm, świadczy, że nie decydują

tu względy uboczne, ale motywy naprawcze istotne i ważne. Jakże? Trudno mi w tej chwili o jasną odpowiedź. Myślę, że będzie najlepiej, jeżeli napiszę wszystko, co przypuszczam, że mogłoby cię zainteresować jako publicystę, a Ty wyciągniesz z tego wnioski i skolei pomożesz i mnie. Może zresztą i ja sam dojdę do czegoś pod koniec tego listu? Napiszę więc o wszystkim, wraz z sugestiami i plotkami. O tym, że egzystencjaliści mają płonące oczy, są niezmiernie afektowani, ponurzy i poważni, piszą stylem koturnowym i niechlujnym, a przemawiają tak źle, tak brzydko i bez czaru osobistego, że przeciera się oczy ze zdziwienia — są przecież Francuzami! O tym, że moda na literaturę niemiecką trwa, że ciągle pisze się o romantyzmie niemieckim, a język niemiecki gra wciąż rolę łaciny. O tym, że i dla czego pewien egzystencjalista zbladł, nie wiadomo, ze strachu i bólu, czy z nadziei i szczęścia, kiedy raz na zebraniu idealistycznej świątyni Collège Philosophique jakaś niecierpliwa lewa pięść zabębniła kilka razy o szybę, chcąc zmanifestować swą wrogość do „najnowszych osiągnięć filozofii”.

Przede wszystkim więc co to jest egzystencjalizm i czy jest on kierunkiem naprawy nowego? Sartre definiuje go jako kierunek filozoficzny, wedle którego egzystencja poprzedza esencję. Mówiąc więc popularnie, egzystencjaliści przeciwstawiają się wszelkim teoriom, które a priori wyznaczają człowiekowi określone cele, do jakich powinien dążyć w życiu i definiują go poprzez te cele. Egzystencjalizm uważa, że powinno się postępować odwrotnie: pierwotnie i bezpośrednio dane jest właśnie i tylko konkretne, indywidualne życie jednostki, a wszelkie „cele”, „wartości”, „wyższe dobra” zależą wyłącznie od tego, czy znajdują swą realizację w tym życiu. Naprawdę nie istnieją, są non entia, bo na-

TREŚĆ NR 17:

Bronisław Krauze — Rodowód Schuhmachera, Z prasy austriackiej — Zabójstwo Karola Liebknechta i Róży Luksemburg, Mieczysław Jastrun — O młodzieży poetyckiej, Jerzy Zagórski — Wiersze, Ankieta Kuźnicy — Jakich dziesięć książek z literatury polskiej i obcej należy wydać najszybciej? Julien Benda — Francja bizantyńska, Adam Bromberg — O szkolną kampanię wydawniczą, Antoni Bohdziewicz — Filmowe plany i sny, B. Mosiężnik — Na oczach świata, Kandyd — Tak toczy się światek, Przegląd prasy, Korespondencja, Noty.

prawdę człowiek jest absolutnie wolny, jest „skazany na wolność”, jak powiada Sartre. Wszystko zależy od jego indywidualnego wyboru, który wyraża się w czynach; tylko on jeden ponosi odpowiedzialność za swoje niepowodzenia i cierpienia, bo skutkiem braku jakichkolwiek znaków, które mogłyby go zorientować w wyborze słusznej drogi postępowania, może on liczyć wyłącznie na własną inwencję i własną przedsiębiorczość.

Orientujesz się oczywiście, że tego rodzaju postawa wywołała od razu gorące protesty i to ze strony przedstawicieli bardzo różnych kierunków. A więc przede wszystkim nie podoba się ona katolikom, którzy w wyosobnieniu egzystencji widzieli i widzą przekreślenie nauki Kościoła, doładnie wyznaczającego człowiekowi jego miejsce w świecie i dyrektywy, wedle których ma postępować. Istnieje wprawdzie chrześcijańska gałąź egzystencjalizmu (Jaspers, Marcel), sięgająca tradycją do Sorena, Kierkegaarda, ale próby łączenia chrześcijaństwa z doktryną egzystencjalną mogą przynieść w rezultacie tego modernizm, nieprzyjemny i niebezpieczny dla katolicyzmu rzymskiego. Z drugiej strony egzystencjalizm wywołał oczywiście reakcję wszelkiego rodzaju deterministów. To jest jasne. Egzystencjalizm wyrwa jednostkę z łańcucha przynależności i oddarza ją absolutną wolnością. Do szturmów wystąpili też od razu filozofowie tradycyjni. Bo wiem egzystencjaliści piszą mętnie, posługują się stylem niemal barokowym, a skutkiem tego, że zakres ich spekulacji jest zupełnie nieokreślony (życie człowieka), uważają, że wszędzie mogą się czegoś nauczyć; z enuncjacji dziecka, wypowiedzi schizofreników, „głębokich” wyznań pijaków i mętno-wzniosłych dywagacji drugorzędnych poetów. Niech im ktoś powie np. że „dzidzi nie cie”, że „baba Astadola”, że „naprawdę nigdy nie kochał tej kobiety”, i że (to najważniejsze) „śmierć jest wielkim dyktatorem”, a zaraz podnoszą palec w górę, uśmiechają się tajemniczo, wyciągają wnioski, wcielone zresztą w formę tak poetyczną i niejasną, że czasem trudno zrozumieć, o co im chodzi. I to jest klucz do zagadnienia, dlaczego tak trudno jest pisać o egzystencjalizmie, a zwłaszcza, dlaczego jest prawie niemożliwe podać genealogię tego ruchu. Nie wyobrażasz sobie, jak się teraz w Paryżu urządza polowania „na przeszłość”, żeby znaleźć tych „prawdziwych pierwszych”, od których wszystko się zaczęło. Egzystencjalistą był więc podobno św. Bernard (bo był w opozycji do „systemicznego” Abelarda), Saint-Thierry dla tegoż powodu, Pascal (chyba dlatego, że był dobrym pisarzem), Blake i gromada poetów XVIII wieku; Baudelaire, Rilke i zupełnie niewiadomo kto. Co chwila nowy entuzjazm i nowa „odkrycie”, zwyczaj poety. Jeżeli moda na nową filozofię potrwa długo, co za niezmiernie pole działalności otwiera się dla doktorantów i młodych uczonych! O wyborze takiego, czy innego pisarza na stanowisko „ojca egzystencjalizmu” decyduje jeden czynnik: pisarz powinien być smutny. Jeżeli nim nie był, można go wyinterpretować na czarno, ale w zasadzie lepiej, żeby był. Im bardziej zrozpaczony, tym lepiej. Bo — istotą życia jest troska (Heidegger), bo jesteśmy wolni absolutnie, a ta wolność odsłania się w rozpacz (Heidegger i Sartre), bo rozpacz (każda rozpacz) odsłania przed nami „nicotność naszej istoty” (wszyscy egzystencjaliści), bo będąc wolni od wszelkiej esencji czujemy raz po raz naszą „lepkość”. Dążymy do tego, żeby osiągnąć jakąś formę stałą — spokój kamienia — ale wszystkie nasze usiłowania są daremne — stajemy się tylko ustawicznie — nigdy nie zaznamy szczęścia bytu przedmiotowego. I w połowie drogi w pogoni za posadą, czy dziewczyną, w ciągu pisania artykułu, auskultacji pacjenta czy zakładania szyn kolejowych ulegamy atakowi poczucia własnej lepkości i obrzydzenia do samego siebie. Bo jeżeli egzystencja poprzedza esencję, jeżeli nie istnieją żadne drogowskazy etyczne czy intelektualne, jeżeli człowiek jest całkowicie wolny i zawsze i wszędzie, a będąc wolny nie dochodzi nigdy do „uprzedmiotowienia”, co absolutność jego wolności wyklucza nawet autodeterminację, to jest i musi być nieszcześnie. Nicotność i śmierć mieszkają w jego piersi. Po co się właściwie urodził, po co żyje? Niewiadomo. Właściwie jest zbytecz-

ny i właśnie w tym poczuciu zbyteczności jest ziarno obrzydzenia do siebie samego. „Myślałem nie jasno o samobójstwie, żeby unicestwić przynajmniej jedno z tych istnień zbytecznych. Ale nawet moja śmierć byłaby zbyteczna. Zbyteczny mój trup, moja krew na bruku, pośród tej roślinności, w głębi tego śmiejącego się ogrodu. I ciało gnijące byłoby zbyteczne dla ziemi, która by je przyjęła, i moje kości, nareszcie oczyszczone, obrane ze skóry, czyste i gładkie jak zęby byłyby też zbyteczne: byłem zbyteczny dla wieczności” (La Nausée).

Znałem już przed wojną Heideggera, więc egzystencjalizm i jego forma francuska nie zrobiły na mnie wrażenia. Poza tym jestem, jak wiesz, trochę cynikiem i pozytywistą, więc mnie to wszystko raczej bawiło i bawi. To jest Paryż, to jest moda! To przecież naprawdę godne zainteresowania (choćby literackiego) — zobaczycie eleganckie nieszczęście, wcielone w niechlujnie ubranych egzystencjalistów w oczach Ahaswera, gestykulujących w małych salkach nad rozpaczą i jej metafizyczną przyczyną. Filozof egzystencjalny musi być źle ubrany i musi przemawiać w brzydkiej sali, bo „nie chodzi o pozory, ale o PRAWDĘ”. „Chodzi też o reakcję przeciw tradycji francuskiej, tradycji racjonalistycznej, zawsze dbalej o formę. Więc lepiej być nie tylko niechlujnie ubranym (pewien filozof zbliżony do egzystencjalizmu wystąpił raz w koszuli nocnej pod marynarką) ale i mówić możliwie źle — można piszczeć, albo bełkotać szybko i niezrozumiale. Nigdy żadnej pointy, bo wtedy by cię wzięli za marksistę, kartezjańczyka, albo przynajmniej racjonalistę-katolika. Palić trzeba albo papierosy zrobione z megotów (kompletna négligence) albo angielskie lub amerykańskie (reakcja przeciw „clarté française”, elegancki wyraz rozpacz, wzywającej tragicznie wolną jednostkę do zerwania z oszczędnością). Zaznaczam, że to wszystko, a zwłaszcza niechlujstwo ubraniowe, nie ma nic wspólnego z droższą powojenną. Egzystencjalistom powodzi się stosunkowo dobrze. Publiczność francuska jest wciąż intelektualna, książki są kupowane i czytane bardzo pilnie, a „czytelnik” prawie nie ma). Rozpacz popłaca, nieszczęście sprzedaje się za niezłą cenę. Wstęp na jeden odczyt „o ziemi”, „o samobójstwie”, „o stanach psychopatologicznych niepowodzenia życiowego” kosztuje 50 franków, i sala jest zawsze przepelniona. Rozpacz popłaca, a egzystencjalizm zrobił dla niej wszystko możliwe, żeby zabezpieczyć jej długie lata egzystencji. Bo — nie ma sposobu, żeby uciec przed własną wolnością. Człowiek wmawia w siebie czasem, że to nie on sam jest winien, że to okoliczności podyktowały mu jego postępowanie. Ma dosyć swej wolności, nie chce ustawicznie szperać w zakamarkach swego „ja”, chce żyć „tak jak inni”, chce się utożsamić z „SIE” Heideggera, chce stać się takim, jakim go widzą (L'en soi Sartre'a) — wszystko napróżno (stały motyw melodii egzystencjalnej) bo „zdrada własnej autentyczności” pociągnie go tylko na drogę nikczemności i zbrodni. Rozpacz, tak, rozpacz nie przestanie ścigać człowieka jak Erynia, zadając mu uderzenia jeszcze silniejsze, jeszcze boleśniejsze. Jest więc dużo czasu, wiele tematów do artykułów, książek i odczytów. Zwłaszcza, że sytuacja polityczna świata skłania tuższych intelektualistów do ostrożności, a egzystencjalizm zabezpiecza sobie wszyst-

kie możliwe wyjścia. Lewym skrzydłem dotyka Sartre'a, człowieka niewątpliwie postępowego politycznie, obrońcę murzynów (La Putain Respectueuse), dezawuatora źródeł antysemityzmu („Les Temps Modernes”), a prawym głoszą płomienne głowy mistyków i marzycieli o nowym łańdźie „nowego średniowiecza”. Ostrożni egzystencjaliści z prawego skrzydła boją się jak ognia „lewej reputacji” (rozmaite obliczenia), i dlatego kiedy „Jewa pięść” załomotała demonstracyjnie do okien „Collège Philosophique”, prelegent doznał tej ambiwalencji uczuć — może wejść i narobią kłopotu, to źle dla kasy instytucji, ale z drugiej strony, jeżeli tak, coż za dowód dla atakujących nas katolików, konserwatywnych elementów racjonalistycznych, że to marksizm nas atakuje i nie daje żyć.

Bo egzystencjalizm jest równie wrogi racjonalizmowi marksistowskiemu jak konserwatywnemu. Nie chce raju ziemskiego. Nie chce postępu. Odrzuca wiarę w wyższe wartości. Żąda rozpacz i wierzy w jej moc. Bo rozpacz, metafizyczna rozpacz stała się dla wielu ludzi we Francji i gdzie indziej znakomitym balsamem na prawdziwe, konkretne dolegliwości duchowe i materialne. Miło jest wzmówić w siebie, że komplikacje życia powojennego nie dadzą się zatłoczyć bez „głębokiego wstrząsu metafizycznego”, jeszcze milej, że strach przed katastrofą gospodarczą czy jakieś czyste indywidualne niepowodzenia życiowe są „naprawdę” wyrazem ciemnych i nieznanych, nadnaturalnych sił czy demonstracją drzemającej w nas tajemniczej „nicotności”. Niewątpliwie kryzys, jaki przechodzi dziś większość krajów europejskich ma swe źródła i przyczyny i usunąwszy je ludzkość pójdzie znów dobrą drogą. Tak powiedziałoby nie tylko Kartezjusz, Voltaire, ale i Platon. Tak mówi wszelki racjonalizm. Ale egzystencjalizm ogłasza swe pozorne „désintéressement” sprawami świata, sprawda wszystkim, nawet historię do przeżyć jednostki „odpowiedzialnej i wolnej”. Jest odrodzeniem romantyzmu filozoficznego w jego, jak myślę, najniebezpieczniejszej formie. Właśnie — jest romantyzmem (mam na myśli przede wszystkim niemieckich filozofów romantycznych). Romantyzm wzmówił w człowieka spontaniczność, pozwalając mu działać samemu bez oglądania się na okoliczności obiektywne i na przeszłość. Romantyzm nienawidził renesansu i oświecenia, nienawidził racjonalizmu i Rewolucji francuskiej, chciał zerwać pęta, które na człowieka nałożył Arystoteles, nazywając go stworzeniem politycznym. Nienawidził wolności jako esencji, przeciwstawiał jej wolność człowieka sportanicznego, wolność egzystencjalną. Rzecz interesująca jednak, że walka romantyzmu niemieckiego o człowieka była naprawdę walką o potęgę narodu niemieckiego. Niemcy postanowili zjednoczyć się w Europie już skonsolidowanej. Trzeba było szybko wymyśleć filozofię, która by umożliwiła czy wytłumaczyła koncepcje polityków i ekonomistów. Nie można było nawiązywać do Goethego i klasycyzmu, bo ani autor „Fausta”, ani oświecenie niemieckie nie dawały natchnienia dla euforii nacjonalistycznej. Na czym budować? Zaczęto budować na „czystej świadomości” w nadziei, że pogłębiwszy wiedzę o „tajemniczym ja” pogłębi się poczucie przynależności plemiennej wszystkich Niemców. Euforie i depresje filozofów niemieckich były ściśle uzależnione od udania się lub fiaska polityki praktycznej.

Fala filozoficznego romantyzmu niemieckiego przenosi się do Francji. Język niemiecki gra na wykładach i odczytach niemal dawną rolę łaciny. Kiedy patrzę na sprawy te niby czysto filozoficzne pod kątem widzenia politycznego wyglądu świata, wydaje mi się, że niedość często i niedość dobitnie zwracamy uwagę na dziwne zależności fenomenu myśli od wymagań politycznych chwili. Dla mnie „prawda” Schellinga była sublimacją marzenia o panowaniu rasy niemieckiej, prawda Heideggera sublimacją niepokoju „weimarskiego” i próbą przewyciężenia go. Prawda egzystencjalizmu francuskiego jest chyba chęcią zerwania tak z tradycją racjonalistyczną francuskiej „lewicy”, jak i z klasycyzmem prawicy i stanowi groźne niebezpieczeństwo wobec zawsze możliwych „nieprzewidywanych zmian”. Jest prądem niezdrowym i rozkładowym. Sięga swymi mackami do wszystkich zakamarków intelektualnych Francji. Przyjmuje każdego. Wystarczy jedno — kandydat na egzystencjalistę nie ma prawa wierzyć w rozsądek i cywilizację. Gdzieś daleko obraduje jakaś tajemnicza i niedostępna „loża” egzystencjalna. Kieruje, wysuwa lub skazuje na milczenie (może sam Sartre naraził się „łoży”, bo przejawia teraz znacznie mniejszą aktywność). Ostatnio daje się zauważyć zwrot na prawo (Bierdiajew mówił w Coll. Philos.). Egzystencjalizm rozszerza swe wpływy: w salach odczytowych pełno lekarzy, którzy nigdy nie leczą, a jeżeli leczą, to tylko dusze, adwokatów, którzy nie bronią, bo każdy przestępca sam za wszystko ponosi odpowiedzialność, przyrodników, którzy z lenistwa nie ukończyli studiów, ale mogą zużytkować nabyty żargon naukowy dla efektownych wystąpień w obronie ducha. Sale odczytowe są wciąż pełne. Francuzi jak Ateńczycy lubią dyskutować. Nawet w restauracjach i kawiarniach słyszy się nieustannie rozmowy na temat „nowego porządku transcendentnego”, który jest konieczny dla „nowego odrodzenia”. Bo to wszystko ma być odrodzeniem. Bo Paryż, jak głosi propagandowa plakietka „Collège”, ma stać się znowu centrum intelektualnym świata. Historia jest niemodna — próżno ukazywać tym ludziom, że są po prostu romantykami, bliźniaczko, niemal humorystycznie podobnymi do swych braci z pierwszej połowy 19-go wieku. Próżno przypominać im i ostrzegać, że postępując dalej swoją drogą zabrną w mistycyzm, w okultyzm i alchemię. Próżno, bo dla nich historia obiektywnie nie istnieje, bo przeszłość jest tylko „propozycją”, która dopiero podlega „ratyfikacji” wolnej jednostki. Bo — wszędzie i zawsze chodzi tylko o prawdę, a ta manifestuje się tylko w bebachach i intymnych głębinach „świadomości” i egzystencji. Ta „prawda” żyła za Restauracji, może więc żyć i nadal bez względu na ustrój polityczny, bez względu na struktury społeczne, bez względu na czynniki polityczne, które może zechcą jak nasi przedwojenni korporanci przekuć „nowe kategorie” na coś realnego. Nie myślę, żeby ta nowa realność miała być ustrojem opartym na wolności politycznej. Wolność zdaniem egzystencjalistów nie jest esencją, nie jest wartością, jest po prostu metafizyczną koniecznością naszego bytu, koniecznością, manifestującą się w każdym czasie i na każdym miejscu, a może właśnie lepiej i dobitniej w czasach ucisku, gwałtu i konkretnej rozpacz. „Nigdy nie byliśmy bardziej wolni jak pod okupacją niemiecką. Straciliśmy wszystkie nasze prawa, przede wszystkim prawo do mówienia. Znieważano nas każdego dnia i trzeba było milczeć. Deportowano nas masowo, jako robotników, jako Żydów, jako więźniów politycznych”. Ale dlatego byliśmy „wolni”.

Nie mówię, żeby tęskniono do czasów okupacji, nie, nie, oczywiście że nie. Wiem też bardzo dobrze, lepiej, niż krajowi egzystencjaliści, którym może pokażesz mój list, że Sartreowi chodziło tylko o pokazanie, że jego wolność nie ma nic wspólnego z wolnością jako wartością. Tak, ale ja nie mogę jakoś uwierzyć w „czystość naukową” modnych spekulantów. I czytając, słuchając i patrząc na egzystencjalistów różnych odcieni myślę czasem o Ateńczykach, którzy raz wypędzili swych filozofów pod zarzutem braku troski o dobro republiki.

Najlepsze pozdrowienia

Erazm

ADAM WAŻYK WIERSZE WYBRANE

z portretem autora

1947

Stron 125

cena zł 240

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„C Z Y T E L N I K”

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

DWA OPOWIADANIA

Z cyklu: Nie ważne

Pospieszyła się zima.

Czerwone Wirchy białe śniegiem. Śnieg na Giewoncie. Regle w śniegu. Pod regłami, i to, leży go zadość. Ubierał nawet Zwierzynieckie młaki. Mokry, tający niechlujny pstroczy żółknącą zieleń przy Krupówkach.

Foluszowy potok niesie z gór mętne wody brudno zapienione. Prędkie, bezładne fale potykają się o kamienie, przeskakują przez dziurawe miednice i nocniki, potrząsają drewnianym odwiecznym mostkiem.

U mostka w potoku woźny tatrzańskie muzeum płótcze ze znanstwem litworowy korzeń, aby, w celach nie-muzealnych już, zalać go spirytusem. I prawie! Nie byłby Janosik harnaslem, żeby był litworowej nalewki u frajerek nie pijał.

W kamiennej budowlu trwa niezniszczalny ziąb przechowywany tu od początku świata zakopiańskiego (czyli od Chałubińskiego). Przy wejściu gipsowy Sabala ze złóbcokami bez strun w ręce, patrzy przed siebie w ścianę. Naftalina i ziąb towarzyszą mi schodami na piętro.

Przez sale na piętrze (zaludnione górskim ludem czworonogów jedzonych zwolna przez mole) przebiega dla rozgrzewki i zabicia czasu jakaś przyjeżdżająca wycieczka.

Schodami z piętra zstępuje dwu tubyleców w miejskich marynarkach, w kapeluszach z kostkami i w cyfrowanych portkach. Widocznie dość już nauczyszali i nakupili z dyrektorem w małej izdebce za szkalnymi drzwiami.

Wchodzę na ich miejsce. Trafiam w środek permanentnej dyskusji. Siadam w pobliżu żelaznego piecyka, który zdradza ślady wczorajszego palenia w nim. Przyciągam ku sobie rzecz pierwszą z brzoza: album z góralskimi haftami, jakich dziś żadna góralka na Podhalu nie robi. I przez chwilę dobrze mi jest w tej dziwacznej atmosferze skamieniałej dawności i dzisiejszego kipiątka, z którego unosi się tu opar gęsty jak „gmla” góraska.

Powoli izba pustoszeje.

Alści w drzwiach nowi przybysze. Młoda jeszcze, mizerna gaździnka okrywająca coś zapaską i chłopak kilkuletni trzymający się ukradkiem a z siłą, matczynej spódnicy. Chłopak w łatach i dziurach ułożonych misternie w kształt ubrania, z gołą jasną głową, z rękami i nogami sinymi, okrytymi ciemną skorupą brudu. Płone musi być to gazdostwo, które wydało ich oboje.

Kobieta, najwidoczniej onieśmiewiona i czymś zawstydzona, robi wysiłek: uśmiecha się chytrze. I zachęcająco podnosi róg zapaski okrywającej mały, połamany wiklinowy koszyk, jak to się okazało. Jednak to, co prezentuje nam w koszyku, nie jest wędzony oscypek, ani blaszany garnuszek masła, ani wiasek grzybów. To nawet nie jest kłębek brudnej wełny, ta brudnoszara kula nieporządnie nastroszonych igieł.

Pobieżne, rozlęgione spojrzenie mężczyzny z za biurka odwraca się od koszyka i przez chwilę spoczywa na ziemistej twarzy kobiety. Kobieta dalej wysila się na chytry w jej mniemaniu uśmiech, który jest już tylko zawstydzony. Mówi jednak prędko, za głośno, następując głosem i ruchem:

— Biercież za stówkę, biercież!

Ledwo - ledwie poruszenie głową jest bezapelacyjną oznaką odmowy. Mimo to niefortunna sprzedawczyni potwarza jeszcze dwukrotnie swoją ofertę. Poczem, nie zakrywając już koszyka, lekkim szturchaniem nakierowuje milczącego chłopaka ku drzwiom i wychodzi.

Po chwili i ja wychodzę.

Tych dwoje niezdecydowanie przystanęło na mostku. Zwolniłam krok, przechodząc mimo. Chłopak w otwartej przestroni światła jeszcze bardziej brudny i zsiniały, popatrzył mi w oczy swymi nieruchomymi, szerokootwartymi oczami. Wyraz ich był szczególny.

Kobieta skośnym spojrzeniem zerknęła na mnie niepewnie (koszyk podrygiwał pod zapaską), w jej spojrzeniu

zobaczyłam wyraźnie czym to się skończy, jeśli nie wmięszam się w bieg sprawy. Chłopak wiedział także i to uczyniło jego wzrok takim wymownym.

Zatrzymałam się. Chciał tego i czekał na to, a zaskoczyło go to tak, że drgnął mocno i wypuścił z ręki ucho koszyka. Koszyk przechylił się niebezpiecznie nad wodą. Kobieta przytomnie i sprawnie potrząsnęła chłopakiem, a także koszykiem, by jego ruchliwa zawartość wróciła na miejsce.

Spytałam, aby jakoś zacząć:

— Gdzieś go znalazł?

Okazało się, że przy kopaniu kartofli na ich dziedzinie (a byli z wioski po tamtej stronie Gubałówki o dziesiątek kilometrów stąd). Tranzakcję załatwiłszy szybko i tylko niepotrzebnie do dałam, aby tego nie robili więcej, bo drugim razem to im się nie opłaci. W milczeniu odeszli, radzi ze siebie, pobłażliwi dla mnie.

Szli w dół, ku Kościeliskiej ulicy. Dzień był targowy. Chłopak wysforował się przed matkę ku kramom ze słodkim pieczywem. Być może, że mu je obiecała tam, na kartofliśku, wątpliwe było jednak dotrzymanie obietnicy.

Kłopotliwy nabytek ciążył mi w cieniu, starej jedwabnej chustce, przez którą na wskroś przechodziły kołce kolców. Mógł ją przerwać. Mógł z niej wyskoczyć. Rada nie rada ruszyłam z miejsca, nie bardzo wiedząc, co mam teraz zrobić z żywym jeżem. Skoro już kupiłam jego życie, należało mu je zwrócić. Ulica do tego nie nadawała się.

Szłam więc i niosłam jeża ze sobą. Nie chciałam nikogo spotkać. Gdybym spotkała znajomych, ludzi rozsądnych, znowu dziwionoby się memu nierozsądkowi.

Znajdowałam się o kilkanaście za ledwie kroków od posepnego w swym ubóstwie i w starości drewnianego domiska. Dobrze mi znane i od wewnątrz. Pełno w nim chłopców z dalekich i bliższych osiedli. Utalentowani. Wydobyto ich, albo wydobyli się sami z trudem z różnych dziur, z miejsc deskami od świata zabitych, aby (dalej przemierając głodem) wyuczyl się ciesiołki, stolarki, rzeźby. Każdym z nich należało zająć się, każdemu świadczyć pomoc. Co dzień i przez lata, aż stana o własnych siłach. Przy takiej trosce, troska o jeża... Śmieszne. Stwierdzam to, a nie czuję śmieszności. Ta ciepła, brudna, szara bryłka w zetlełej jedwabnej chustce — porusza się, sapiąc oddycha, niepokoi się. Obejmując ją, obejmuję ręką znikomą szczyptę życia. Nigdy nie byłam tego mniemania, aby tylko w kształcie ludzkim miało wartość. Bliskie mi, nawet gdy jest nieporadnym, wyrzuconym z jamy jeżem. Bo nieprawdę mówiła poczciwa gaździnka, że należało go wałęsającego się po kartofliśku. Wyszperali go, w ukryciu zabezpieczonego na zimę. Gdzie go zanieść, aby zasnął zimowym snem?

Jest już południe. Słońce świeci jeszcze dla nizin, ale nie w górach. Tu już jest mrok. Zaraz zciemni się naprawdę. Narazie zaniosę go do domu. I nakarmię go. Czym? — usiłuję przypomnieć sobie. Erinaceus europaeus. Ssaki. Owadożerne. Może więc kawałek surowego mięsa? Skórkę chleba? Licho wie... Mała dziewczynka, którą czasami wspominam, wiedziałaby. Dzieciństwo jej upływało w domu pełnym dzikich, a swojsko zachowujących się stworzeń: szpaków gadających, gwizdających kosów, paplących srok, pieszczotliwych łasic, laszących się wiewiórek, lisów wiernych jak psy. Nawet ómy tam były przyzwyczajone przyruwać do stołu podczas kolacji na kropkę miodowej patoki i herbatę słodzoną mlekiem. Tamtej dziewczynki niema. Ale w domu, do którego idę teraz, jest kilkoro dzieci.

Dzieciom jeż nie okazał się zajmującym. Popatrzyli na niego bez ciekawości. Bez zyczliwości powstały przy nim krótką chwilę i odeszły obojętne. Byłam zakłopotana. Spodziewałam się, że będę mogła zostawić go im, jak

spokojnie zostawiłabym go tamtemu dziecku. Teraz wiedziałam, że pozwolił mu zdechnąć swobodnie. Tego nie chciałam.

Tymczasem uczyniła się noc bardzo ciemna. W mieszkaniu pozapalano lampy, pozamykano drzwi wejściowe. Na dworze rozpadał się deszcz. Krople deszczu biły, rzęsiste, w blaszany dach, w blaszane parapety okien. Zmieniwszy się w białe, geste krupy uderzały gładem o szyby. Należało odłożyć wszystko do jutra, gdy się wypogodzi.

Niepożądanego gościa u siebie w pokoju wysupałam z chustki na podłogę. Poczwszy podłogę pod sobą głośno sapnął zadowolony. Powoli rozkurczył się. Przegimnastykował parokrotnie tylne łapki. Energicznym ruchem naprostował i wygładził zmierzwiłone kolce. I ruszył szparko przed siebie wzdłuż ściany. Drobnymi kroczkami, kolebiąc się, obchodził skrupulatnie cały niewielki pokój, wszystkie nieliczne sprzęty.

Przyglądałam mu się z wysokości tapczana. Wyglądał jak kolczasty owoc opuncji, który, dojrzały oderwał się z krzaka i toczy po kamienistej ścieżce Taorminy. Od czasu do czasu zatrzymywał się. Z pod sutego płaszcza naciągniętego aż po niskie czoło, wysuwał szczypty łebek prawie niewyobniony z reszty ciała. Spiczasty wąski ryjek obracał się wtedy żwawo na strony, nozdrza małego noska wciągały powietrze z głośnym fukotem, a oczka błyszczały żywą ciekawością. Po chwili znowu ruszał w drogę, każdy krok wystukując hałaśliwie pazurkami na gołych deskach podłogi. Szukał wyjścia lub pożywienia. Wypuścić go jeszcze nie mogłam. Mogłam go pożywić!

Nalałam mleka na spodek. Postawiłam na jego drodze. Gdy nadszedł, zawęszył — zatrzymał się. Okrążył spodek. Zawrócił. Ostrożnie umoczył nos w mleku. Otrząsnął go, rzęsiste rozpryskując krople. Sapnął. Zanurzył pyszczek i począł głośno, łapczywie chleptać. Był wygłodzony.

Dwukrotnie napełniałam spodek mlekiem. Podczas tego pozwalał gładzić się po łebku nie kurcząc się nieufnie, nie zwiżając w kulę, nie wyrażając żadnych oznak strachu, gniewu lub niechęci. Mogłabym sądzić, że od urodzenia jadł posiłki w ludzkim towarzystwie.

Nasycony, drepząc ociężale, przydreptał do moich stóp spoczywających na jego drodze. Ułożył się w oparciu o miękkie futrzane pantofle i uciął, z rykiem wsuniętym pod spód ciała, do drzemki.

Sięgnęłam ogłędym ruchem na półki stojące przy tapczanie, po książkę. Gdy zanośliło się na dłuższe trwanie w roli jeżowej niańki.

Po godzinie uznaliśmy jednocześnie, że należy nam się zmiana. Jeż rozpoczął od nowa swoją wędrówkę, ja położyłam się i zgasiłam światło. Zaspiając słyszałam skrzętnie dreptanie ruchliwego zwierzątka.

Trwało jeszcze, gdy się zbudziłam rano. Za oknami było biało. Smreki dźwigały na sobie mokry śnieg. Mokry śnieg polatywał w powietrzu. Jafery i brusznicie mokły w śniegu, który przysypał ogród koło domu. Jeż nie wiedzący o tym, wałęsał się sennie między tapczanem a zimnym piecem.

Nie mogłam zostawić go tutaj — wyjeżdżałam tego dnia wieczorem. Były tu wprawdzie suche piwnice, gdzie mógłby, nikomu nie przeszkadzając, przezimować w jakimś kącie i z wiosną odejść gdzie by chciał. Ale byli także ludzie, którym zawadzała świadomość, że obok nich w domu istnieje stworzenie jakie nie jest dla ich pożytku, a nie wolno im go zniszczyć...

No, cóż, śnieg jeszcze stopnieje i upadnie nieraz, nim zima okrzepnie. Musi sobie jakoś radzić. I zawiązałam jeża znowu w chustkę.

Najlepiej będzie odnieść go w głąb lasu, i w miejscu gdzie spróchniały wykroty, puścić!

Droga była śliska. Nogi grzęzły w lep

kiej mokrości. Płaty śniegowe zalepiały oczy. Rzucić by go z boku drogi przy rowie. Ze mimochodem kto z ludzi dziobnie go ciupa, albo potoczy do chałupy psom na rozrywkę, cóż takiego.

Tak myślałam i szłam dalej wylgając zaciszonego, suchszego miejsca.

...Szłam tedy eskortowana przez gestapowca. Śnieg był obfitszy. Było mroźniej. Bo to był styczeń. Świeciło słońce. Wszystkie ulice, ścieżki, domy były już obstawione. Czy byłby strzelał do mnie gdybym skreśliła między drzewa, w las? Miał najwyżej dwadzieścia parę lat. O kilka kroków od tego miejsca kazał mi zatrzymać się i sam stanął. Dwaj drudzy wyprowadzali także jakąś kobietę, z willi opodal drogi. Czekali na nich, zwróciwszy się twarzą do gór. Spytał mnie po francusku, czy znam Szwajcarię? Interlaken? On urodził się na jej pograniczu. Góry są piękne każde. Któżby nie kochał gór! — monologował z przejęciem. Poczem znowu poprawił rewolwer i kazał mi iść, gdyż tamci z prowadzoną przez nich kobietą dochodzili do drogi. ...Nigdy widać, nie przejdę już tego oto miejsca, jak zwyczajnie przechodzi się drogą, bo to ohydne, wrosło wtedy w ten kawałek krajobrazu i trwa i czeka, aby odżywał!

Drobina życia uwięziona w szmatce zetlełego jedwabiu poruszyła się niecierpliwie. Poczulałam wdzięczność dla niej. Ze mogę zatroszczyć się o nią. I zachować ją.

Jeszcze kilkadziesiąt kroków. Tu chyba będzie dobrze. Pod osłoną węgryzka kępy jaferu, krzaczaste jałowce, jak osmiornice rozczapierzone korzeniami pniaki.

Schyliłam się. Rozwiązałam chustkę. Myślałam, że pokwapi się do ucieczki. Ale muszę chwilę poczekać, żeby zlaź z chustki. Bo jeż nie porusza się. Trwa to długo. Wiatr przybrał na sile i śnieg sypie z nową siłą.

Idź ty, już idź. Te kępy jaferów, tam, pośród grubaśnych korzeni pod gęstymi jałowcami, są prawie suche. Spycham go lekko z chustki w tamtym kierunku. Ale on opiera się. I dzieje się coś, w co trudno mi uwierzyć, mimo, że na to właśnie patrzę: spod kolczastego płaszczyka wysunął się wąski pyszczek, czarne malutkie nozdrzyki zawęszyły gwałtownie i — błyszczące malutkie oczka usiłując rozejrzeć się, podnoszą się powoli ku moim oczom, gdy tak kłęczę po drugiej stronie wilgotnej kępy mchu. Oczka podnoszą się, podniosły i — nie odwracają już.

Znam taki wyraz oczu u ludzi. A także u psów. Ale żeby ten mały dziki zwierzątko chciał i umiał prosić spojrzeniem istotę najzupełniej mu obcą: człowieka!

Wyprostowuję się. Zdaję sobie sprawę, że jestem śmieszna, ale nie potrafię tak odejść! Opiaram się o pięć smreka i stoję bez ruchu. Chcę czegoś doczekać się. Chcę o czymś się przekonać. Że — nie potrzebuje mnie. Że sam da sobie radę.

Nareszcie! Zdecydował się. Idzie.

Odchodzi. Nie poczułam ulgi. Patrzę za nim. I widzę, jak posuwa się wolno, niepewnie, przez mokry śnieg ziębiący mu brzuch i uda. Nigdy nie myślałam, że jeż może mieć takie długie nogi. Oto wyciąga je spod kolczastego płaszcza żyłaste, nagie, z drzącą na nich skórą, usiłując unieść jaknajwyżej obnażone od spodu ciało. Pod każdym stąpnięciu otrząsa je wzdrygając się febrycznie.

Brnie przed siebie, zbaczając opieszale to w tę, to w tę stronę, ale nie zatrzymuje się. Tak brnąc w śniegu coraz większym, nie dojdzie do żadnego suchego schronu, nie schroni się nigdzie na sen zimowy, nie prześpi mrozu i głodu zimy.

Ale nie schylam się, aby go podnieść i zabrać stąd. Bo i dokąd?

Widzę go wciąż jeszcze. Porusza się dość żwawo, ale na jego grzbiecie już osiada śnieg tak, jak osiadł na kępkach mchu.

ZIELONY DZIĘCIOŁ

Prof. M. H. Grotowski

Walczyliśmy o powrót do naszego mieszkania w Warszawie. Tymczasem, co jakiś czas dojeżdżamy.

W Warszawie nocować nie mamy gdzie. Znalazłam nocleg pod miastem. Godzina drogi w tamtą, godzina drogi w tę stronę. Ale przez kilka godzin nocy jestem pod wzniesionymi wysoko gałęziami drzew i pod nisko nawisłymi gwiazdami. To początek lata. Jeszcze śpiewają nocami słowiki i już rankiem śpiewa wiewilga. Jeszcze pachną akacje i już pachnie siano.

Ta „latarka”, miejsce noclegu, jest to malutka, bądzjak oszklona werandka przy obszernym domu. Dom jest stary, z dużym mrowiskiem brunatnych leśnych mrówek od frontu na gazonie. Nie jest piękny, ale piękne są drzewa, które go otaczają, wyniosłe, rozłożyste, o różnych kształtach pni, o różnych odzieniach liści, o różnym pokroju koron. Między planowo rozmieszczonymi drzewami bezładny gąszcz krzewów. W krzewach gwar ptasi melodyjny i furkot pierzchliwy skrzydeł. Szeleszcza skoki wiewiórek. Pod krzakami nory dzikich królików. I mrówek przemarsz nieustanny.

Wszystko to ogrodzone drucianą siatką i zamknięte na dwie przeciwnie furtki. Schronienie. W obrębie drucianej siatki z nieba sączy się spokój. Spokój paruje z ziemi. Spokój rozpylony pomiędzy gałęziami w powietrzu.

Z dusznych zakurzonych ruin Warszawy przyjechałam dziś wcześniej w pełni dnia. To mój zysk. Idę od razu między drzewa. W ich cieniu i w szumie ich wycieku po kilka godzinach chaotycznych rozmów i równie nuzacej bieganiny.

Ważutka ścieżka wznosi się lekko. Na niewielkim, brunatnym od opadłych igieł, wzniesieniu, pod luszczącym się różowo pnem sosny, leży szary stos chrustu. Na nim porusza się żywo coś niewielkie. I wydaje gardłowe, przerywane skrzeki. Podeszłam bliżej: wrona. Młoda. Niezwykle jeszcze opierzona.

Przy każdym niudnym ruchu kusznych skrzydeł, a wszystkie były niudane, zapadała coraz zawilej w kolezaste, rosochate gałęzie.

Zapewne wypadła z gniazda. Spojrzałam na koronę sosny. Zieleń, prawie czarna, była gęsta, zbita w kłęby, nieprzejrzysta. Ale jeśli gniazdo jest tam wysoko, to ona do niego nie potrafi wnieść się, nawet gdy wydostanie się z tej obięzy.

Przyszedłam blisko. Stałam. Bezradne, zmordowane wysiłkiem małe ptaszysko umilkło, jakby mu kto dzień zatrzasnął. Schyliłam się i — zawahałam. Ale po chwili, ująwszy za słabo opierzone skrzydło, wyciągnęłam petaka na wierzch. Drobne, sine, jakby wymoczone w ługu palce, z już dużymi tępymi pazurami, zacisnął kurczowo na zacienkim kikutcie suchej gałązki — gałązka chrupnęła... Stworzenie chybnęło się i kraknęło z nową siłą strachu. W tej samej chwili wspomógł je z wysokości rozdzierający dźwięk! Podniosłam głowę: nademną i nad pisklęciem, wczepione pazurami w konar, miotają się dwie stare wrony.

Tymczasem malec gramoląc się po wierzchu zmierzwiłonego chrustu, znów zaczął zapadać się. Należało czempredziej zdjąć go z tego kolczastego rusztowania. Zrobiłam to. Co widząc, stare wrony błyskawicznie oderwały się od konaru i rzuciły się na lew, w powietrze. Desperackim ruchem opuściły się nisko! Jeszcze niżej! Nad samą moją głowę. Przyspieszonym biciem w skrzydła, zawrotnym kolowaniem po powietrzu dokoła mnie i wrzaskiem usiłują odpędzić mnie od pisklęcia. Obie jednakowo niebaczne są na niebezpieczeństwo: palcami wzniesionej ręki dotykam ich piór w przelocie, a one opuszczają się niżej — do mojej twarzy, do oczu! Już nie strasza — atakują.

Posadziłam malec na trawie i odeszłam.

Odechodząc, obejrzałam się. Młoda wrona podskakuje niezdarnie wlokąc odstawione na boki sztywne, nieporadne jak kikuty, skrzydła. Kracze cichutko. Starych głosów nie słyszę wcale. I nie widzę ich. Czyżby odleciały po żywność dla malec? No nie mój kłopot. Potrafiła nakarmić ją na ziemi, jeśli nie będą mogły dźwignąć jej do gniazda.

Przeszłam na drugą stronę ogrodu, i w dębowym cieniu położyłam się na leżaku.

O jakiejś chwili wilgotny chłód dał znać, że wieczór. Z niedalekich mokradel jęły napływać kolumny głodnych komarów. Nad gazonem, bioną skrzydeł musnawszy piach alejki, przewinał się nietoperz. Dozorca szedł bosy ku furcie, aby ją zamknąć na klucz. Wstałam, żeby odejść do swojej „latarki”.

Przechodząc opodal sosnowego wzgórka przesunęłam spojrzeniem po wiadomym miejscu. Nic nie poruszało się pod sosną. Ani kryło się przy stosie chrustu. Ani spoczywało w trawie... Obeszłam lekko i uważnie dookoła, zająrzałam w zielska i pod krzaki.

Raptem rozruch uczynił się w koronie sosny. Dwa czarne cienie odłamały się od wierzchołka i opadły na najniższą gałąź, kracząc wniebogłosnie. Przystanąłam, cicha, czekając by odezwał się trzeci głos, pisklęcia. Ale tylko te dwa rozdzierały powietrze nad moją głowę.

I nagle pojął. Krzyczące ptaki przechylały się z gałęzi do mnie. Do mnie, to wołały one, jak wołałyby niemowy człowiek: z trwoga, z boleścią, z gniewem.

Teraz wiedziałam już, że coś złego spotkało na ziemi małe wronie. I, że to zło stare ptaki w jakiś sposób związały ze mną... Stropiłam się... jakby ludzcy rodzice czynili mnie odpowiedzialnym za los swego dziecka. Cóż jednak mogło być między mną, człowiekiem, a parą wron osieroconych. Wzruszyłam ramionami i w milczeniu zaczęłam zstępować ścieżką, a obie wrony, kracząc, leciały nisko pod gałęziami, po obu mych stronach, aż do drzwi „latarki”.

Weszłam szybko i drzwi zatrzasnęłam z niejakim pośpiechem.

O piątej rano, jakby ktoś tchnął we flet początek pieśni i przerwał nagle, przeleciała na domem wiewilga. Potem podjęły krótki śpiew drozdy, ale i one umilkły po paru taktach. Ptasi ludek gorliwszy i swarliwszy nie obudził się jeszcze. Wiatr nie dawał znaku i gałęzie trwały nieruchome. W ciszy jaka była dokoła mnie tylko rzadkie krople ciężkiej wilgoci głośno spadały z liści wiąz na blaszany daszek. Było to jak

nie równe pukanie drobnych palców nieśmiały. Nagłace.

Ja, ziębnąc nagą skórą, ubierałam się śpiesznie. Spojrzałam przez mętą szklaną ścianę, w ogród: gęsta mleczna mgła kłębi się pod widmem białodrzewi nad widmem róż.

— Nie podnosi się do góry, opada na dół — będzie pogodny dzień — i włożyłam lekką sukienkę, cienki płaszcz, mimo rzeźkiego chłodu. Już ode drzwi — jeszcze wróciłam półtora kroku do łóżka po zapomniany na nim zegarek. Dwanaście minut do odejścia kolejki. Zdażę.

Lecz nie zdążyłam klucza przekreślić w drzwiach zzewnątrz, gdy przeraźliwe — Kra! — spadło na mnie jak kamień. Czyhały. Obie siedziały na progu drzwi, na wiązce. Mokre z nocy. Zachryple. Pióra nastroszone wstały im na łbach jak jadowite kolce. Dzikie rozdarty dzioby, wyrzucały ze siebie, one, tak drobne, ogromny okrzyk, którym napelnili wszystką mnie i cały ogród.

Poczułam, śmieszna rzecz, że ocieżało we mnie serce. Być oskarżonym bez powodu przez ludzi — ludzka to sprawa. Znam. Ale zostać oskarżonym przez ptaki...

Widocznie druciana siatka miała rację bytu: gdy wyszłam poza nią, słyszałam jeszcze lament wron, ale trzepoty i uderzeń ich skrzydeł nad sobą nie czułam.

Natomiast dosięgnął mnie gwizd, daleki jeszcze, kolejki. Przyspieszyłam więc stąpienie po siwym kurzu drogi, przykrytym siwą rosą. Z każdym stąpieniem płócienne białe sandaalki nabierały na siebie coraz więcej mokrych ciemnych plam. Nierada temu, pożałowałam, że droga do stacji nie jest udeptana twardo i gładka, jak ta, biegnąca w głąb lasu, która w tej chwili to przestępuje.

...Ta, biegnąca w głąb lasu... Odruch nagły. Stałam.

To w nią, rudą wówczas, (październik!) wpatrywałam się bez tehu, przez szesć, jakie długich! jak żywe! jak konanie! godzin, stojąc w oknie, do szyb przylgnawszy twarzą. Dom z którego

okna patrzyłam wtedy, teraz mam tuż po prawej ręce. W nam użyzonym pokoju, mieszkają, widzę, jacyś, bo okno otwarte i pierzyna w nim wywalona do wietrzania. Ale droga z przed okna pusta — jak wtedy! Jak tamtego dnia! Sześć godzin, wiedząc już, że mimo, iż ucieki żandarmom z dworca, nikt z Polaków nie widział go, aby wskoczył do umówionego wagonu na zabezpieczone miejsce, słucham w oknie karabinowych strzałów. Strzały dobiegają z lasu. Po lesie polują Niemcy na ludzi. Tych, co rozbiegli się z pod eskorty, z dworca, co usiłują skryć się w gąszczu lasu, zbiegi.

Tutejsi, którzy nie mają przeklętych warszawskich kennkart, co jakiś czas chykiem przynoszą wiadomości. Mówią o siedmiu już trupach na leśnych parcelach.

...Piąta godzina... Szósta godzina... Szósta trzynastka... Szósta trzydziestka... Szwargot niemiecki gdzieś tu, blisko. Ściągają patrole. Siódma. Koniec obawy.

Cisza. Koniec. Boże miłościwy, koniec.

A droga leśna pusta. Weiaż pusta, Cała. Aż po ostatnie widoczne stąd drzewa. Aż po drzewa ledwie majaczące w przekrwionych oczach. Aż po te, których dojrzeć nie mogę, ni wyucz.

I nagle — nie nie zmieniło się, a wszystko zmieniło! Idzie! Wracą żywy, cały! Słońce akurat zachodzi między drzewami drogi. Oblało go wesoła czerwienią. Jest z goła głowa, bez czapki, bez palt, bez plecaka. Z rozrzuconymi po czoło włosami, uśmiechnięty, znużony, stapa powoli ku mnie. Ja — lecę!

Bliski, głośny gwizd lokomotywy umiejscowił mnie od razu w czasie. Odetchnęłam mocno. No, żeby się tylko nie spóźniła na kolejkę. Czekać dwadzieścia minut na nadejście drugiej! nie! Sussem przekroczyłam leśną drogę i poszłam żywo ku stacji, tupiąc po mokrym kurzu.

Z przydrożnych sosen zerwało się leniwie kilka wron. Zakrakały niedbale, ot tak, dla zwyczajaju.

I uczyniły to samo bez przekonania w parę godzin potem, gdy tędy wracałam.

A jednak w ogrodzie koło „latarki” od razu zmuszona byłam słuchać bez przerwy namiętnego krzyku tamtych dwu ptaków. Powtarzał się jeszcze i przez dzień następny.

Moi mili gospodarze, ludzie nawykli do spokoju i mijający spokój, byli, oglednie wyrażonego, mniemania, że jednak ponosze niejaka winę w rozpętanu tego wroniego wrzasku wokół ich domu. Nie powiedzieli nic ponadto, ale widocznie było dla mnie, iż z pewnym niepokojem czekają nowych wydarzeń, których spodziewali się po mojej tam bytności.

To też, gdy następnym razem znowu przyjechałam przebyć parę nocy, i późnym wieczorem wchodząc „do siebie” natknęłam się pociemku na... żółwia ufnie leżącego na schodku, postanowiłam od razu zlikwidować nieczekaną znajomość. I zrobiłam to, chociaż pyszczyk żółwia utkwiłony w światło ślepej latarki był twarzyczką szekspirowskiego gmona.

Nie głowiąc się już nad tym, czy się przybłąkał po długiej wędrówce z dalekich stawów, czy przywalał się z bliskiej taki, podniosłam go za twardą skorupę i machającego w powietrzu łapami, poniosłam przez trawnik i jeżyny do błotnistej rowu. Rów był zamaskowany zwałem krzewów, pnączy, chwastu. W zimne noce październikowe, póki przymrozki nie zwarzyły liści, tropieni przez niemieckich ścigaczy, mieliśmy rów ten, za bezpieczne, choć mokre łóżko, my bądź co bądź ludzie. Czemużby nie żółw teraz? Strach przed dwunożnymi istotami, jaki czuliśmy tu, zanurzeni w bezsenne godziny, wzięliśmy ze sobą uchodząc dalej przed ostatecznym pojmaniem nas. Tego plugawego uczucia nie zostawiliśmy tu w błocie rowu. Jest ono czyste i może przyjąć zwierzę nie mające nic wspólnego z tropionym i z tropiącym człowiekiem.

Wróciłam z nad rowu poparzona pokrzywami, ale rada. Cóż kiedy naziutrz czekał mnie już nowy kłopot. Tym razem na środku ścieżki przed gazonem, koło mrowiska.

Zniecierpliwiona apokaliptową zawiałością w praktyce — spraw w istocie swej prostych, zbiegana do ostatniego

ZYGMUNT RADEK

ŻEGLUGA KU BIELANOM

fotografie z albumu rodzinnego

Blask czerwca! Białe liście drzew, z popiołów miasto.
Daszki to zamki z blachy. Czarna strasza baszta.
Przystań rzeczna w chorągwiach. Odjeżdża parostatek
O kołach rachitycznych niby walocyped,
Grupy kuzynów różnią się barwa krawatek.
Dnia nastrój uroczysty napomina stype.
Hipolicie — blask hipoteki ludzi nas niestety.
Chłopiec zezuje, nosi marynarski kotłiczek.
Bogacono się wczoraj, dzisiaj tracimy bilety.
Katarzyna chłohoce, rzy wasaty żołnierzy.
Przystań to barwy flag, Brzeg odwrócony
Ucieka wstecz, Orkiestry trąbia helikony.
Pod kratą mostu lodzierz pobladł jak oplatek.
Bicyklu! Kół twych szprychy toczy parostatek.
Do łabędzia podobne jest pudło gondoli.
Za sterem biała fala jak delfin swawoły.
Ruro komina — lufcikiem jesteś marynarzy.
Czarna, kopcąca rurko nie zaczerniaj stońca.
Jeżeli coś w pelżaju da się zauważyć,
To wszystko łamie w fall sternik wiarołomca.
Prezes jest zwolennikiem wody mineralnej,
Pływacy — zwykłej, Dzień nazbyt upalny.
Syczy syfon, czas płynię i srebrzy się taca.
Cudzołóżny śpiew kobiet w stońcu się odwraca.
Chmury sroża się, Chmura bielmo ma na oku,
Sina niby policjant piszący protokół.
Bielany, cienie łasku, krajobraz rozlewa się wokół.
Cumowano do brzegu. Dwubarwny parasol
Odstraszał od piwłarni białe, czyste ptaki
Restaurator zdaleka nawoływał basem.
Na karuzeli kreśliły się żaki.
Os szare gniazda, domy, cierniste ustronie...
Uschły liść latościł mały ów zakatek,
Skąd słychać było czkawki z płyt na gramofonie.
Fotografia to skłonność serca do pamiątek.
Zblakła trupa rodzinna na tle zamku, który
Jak dach miasta blaszanych fortec wznosi mury.
Melancholla. Twarze kuzynek także są z tektury.
Wspomnienie: postać p. Pryszczka, brzegi rzeki.
Postać jest w melomiku, zapuchło jej oko.
Na brodzie plastron, zarost rudy, pera w piegł.
Obok strzelnica, tarcza i tygrys. Wysoko
W górze płynię pasłasty balon Montgolfier.
Tuż przystań, statek biały, plac zabaw i gier.

tehu po miesiącach, gdzie nie i nikomu nie udawało się zatłoczyć w terminach na to przewidzianych, znużona koniecznością bezpotrzebnych gestów i słów, a nadmiar tego udręczonego szalejącego od paru dni upałem — byle już spożyć w odrobinie chłodu, szłam szybko, nie patrząc gdzie stąkam. Nastąpiłam na skrzydło ptaka. Ptak nie wydawszy dźwięku, wyszarpnął się z pod mojej stopy.

Wstrząsnęłam się lekko, spojrzęłam pod nogi. Jeszcze to! Mimowoli stanęłam. Duży ptak.

Stałam, patrząc. Uskoczył odrobinę w bok ścieżki ku trawie popielatej od spiek, całej ruszającej się mrówkami. Tam znów rozplaszczyl się bezsilnie.

Zatrzymawszy się już nad nim, przysłądłam mu się uważnie. Głowa z wierzchu pońska, kark, grzbiet — zielone. W opadłym bezwładnie lewym skrzydle otwartym jak wachlarz, — lotki białe, ciemno popstrzone. Skrzydło rozumie się, zwinięte. Pewnie przetrzacone.

Nie znalazłam w pamięci żadnej nazwy dla niego. On tymczasem przechylił głowę na bezwładnym karku i czarna kresa wąskiego policzka osunął się sztywno na gorący piasek. Z pod zielonego grzbietu ukazał się zielonawy popielaty i popielaty brzuch, gdy tak wywrócił się przy mojej stopie.

Brunatne leśne mrówki lśnią żwawo jak skry po rozpalonej słońcem ścieżce nabrzmiały nie wiadomo kiedy, nagle! pod nagą skórą wewnątrz zwiniętego skrzydła. Obrzydliwość. Wychwyciłam dwoma palcami ptasie ciałko z pomiędzy gęstniejących mrówek. Było ciepłe. Żył.

Poleżawszy mi na dloniach poruszył zwolna sobą. W ruchu tym zajaśniało u ogona trochę jasnozielonych piór. Dźwignął łebek. Zsunął błonę powiek z oczu. Mignął oczami pełnymi życia i strachu. Przesunęłam lekko wskazującym palcem przez środek ponsowego łebka, od nasady dzioba aż do karku. Strach zniknął z okrągłych, błyszczących źreniczek.

Co z nim dalej zrobić?

Wiadome mi jedno: ptak niezdolny jest do lotu i prztem spragniony ponad miarę. Wody nie ma nigdzie w pobliżu. I nie zanosi się na deszcz w przeciągu paru najbliższych dni.

W mojej „latarce” dzbanek jest pełen. Napelniłam go z rana w kuchni domu przed pójściem do kolejki. Zobaczymy, co da się zrobić.

Zbliżyłam dziób ptaka do powierzchni wody w dzbanku. Ptak, jak każde

swobodne stworzenie, odruchowo przeciwstawił się ręce człowieka chcącego nim pokierować. Z nagle zmobilizowaną energią jał tłuc dziobem powierzchnię wody, rozpryskując dokoła istną zawieruchę bryzgów! Trwało to chwilę, długością swą mogącą zniecierpliwieć. No! spostrzegł się wreszcie, poczuwszy jakoś na miękkiej woskowej dzioba koło otworów nosowych, krople wody. Zatrząsał się wszystkimi piórkami i całą długością dzioba, łbem całym wyszarpnął się do dzbanka.

W przezroczystej wodzie zobaczyłam jak błyskawicznie wytrysł z dzioba język niezwykle długi. Długi i zwiny jak żmijka.

— Dzieciol! — przypomniałam sobie. Zielony dzieciol, *picus viridis*, garnący się tak chętnie do ludzkich osiedli.

Pił. Pił, i pił, i pił nie wyjmując dzioba z wody nie wciągając w dziób języka. Pił łapczywie, zachłannie. Odjęłam mu na chwilę dzbanek, żeby odetchnął, a on pił jeszcze nad dzbankiem — powietrze, łowiąc je w dziób, spragniony. Poniechałam go więc, by dowoli ugasał pragnienie jakie długo musiało mu doskwierać.

Nareszcie będzie miał dość na jakiś czas. Na spory kawał czasu. Ale... że też musiało to sobie przypomnieć! Kot jest stale w domu. I sa koty sąsiadów zająca od czasu do czasu do ogrodu. Ptak z przetrzaconym skrzydłem, ptak nie mogący fruwać...

Można zastać na ścieżce kogoś potrzebującego pomocy i minąć go. Ale wzięwszy go do siebie, z powrotem na ścieżkę wyrzucić — nie można. Trudno, niechże już ten dzieciol pod dachem zostanie przez kocia pore — noc. Rano wynajdę mu miejsce na dworze, możliwie bezpieczne.

Że, orzeźwiony, próbował czołgać się po podłodze w ciasnocie między łózkami i dwu krzesel, a to mu sprawiało w skrzydle ból widoczny, wyprosiłam z za ściany od życzliwej pani Luni, stary kosz na papiery, przewiewny, z wikliny.

Przewróciwszy go dnem do góry, nakryłam obszernie dzieciola. Zielony ptak w koszu cichutko ukucnął do snu, wsunawszy głowę pod zdrowe skrzydło.

Zasnął zaraz. A to wiem, bo na łóżku leżąc, słysze tuż u podłogi jego lekkie przez sen popiskiwanie.

Szeroko otwartymi oczami patrzę w czarnotę nocy i wiedząc, że oczu nie zmrunczę wcześniej, nim zacznę szarzyć, rada jestem temu co żywe, nieważne, śpi tak ufnie w szczyście swych pstrych piórek.

Bezsenność staje się możliwą do zniesienia. Złamały swe ostrza myśli, których starałam się nie dopuścić do siebie. Straciły swój jad wspomnienia, które usiłowałam od siebie odpędzić.

Chcę, czy nie chce, wstanę jutro ja i słońce wstanie.

Zasnęłam. Spałam długo. Przed wyjściem nie miałam czasu zająć się dzieciolem, którego żwawo krzątanie widziałam przez wiklinowe pręty kosza.

W miesiące wypadło mi być dłużej niż przewidywałam. Wracając jeszcze kupiłam odrobinę surowego mięsa, aby dzieciolowi zastąpiło jaja owadzie i poczwarki nim go osadzę koło jakiejś dziupli za domem.

Mimo pośpiechu nie trafiłam na miejscowy pociąg do Podkowy Leśnej. Odszedł był przed chwilą. Wsiadłam z trudem do następnego, gdzie pijani bimbrzem poblażliwi i łagodni, a ludzie trzeźwi pijani złością, tłoczyli się we wrzasku, dymie i zaduchu według wszelkich prawideł utraty rozsądku. Spopychana, ogłuszona, zmaglowana, zmięta, wycisnęłam się z pomiędzy publiczności i bagaży na peron w Podkowie. Ogarnęła mnie czystość ogromnego powietrza. Owionął mnie zapach maciejki. Orzeźwiła mi oczy barwność petunii na rabacie przed małym dworcowym budynkiem i — na grobie koło budynku przy torze.

Jak na wielu tych miejscach, gdzie na rozkaz Niemców odrazu zostawał zakopany jak pies, człowiek padł od kuli Niemca, tak i tu, gdzie padł i zagrzebany jest profesor Rychliński, dzieci, harcerze, drugi rok już sadzą kwiaty niebardzo nawet wiedząc komu, lecz doskonale czując, dlaczego.

Przechodzę z resztą pasażerów koło tego grobu leżącego tak poprostu na drodze i czuję nagły gorący smak życia: w głodnych ustach smak kraszonych słoniną pszennych zacierek... Parują z kilkunastu rozmaitych talerzy rozstawionych gościnie na wielkim stole małej ciemnej jadalni starego domu otoczonego błogosławioną gestwiną ogrodu... Domu, który zdawał się być o południowej porze domem każdego z nas kilkanaścioro, obcych sobie ludzi... I był nim, na krótko... Od łapanki do łapanki... Zastrzelony w czasie jednej z łapanek ten człowiek, leżący tutaj na drodze pod piachem i petunjami, siedział wtedy za stołem nad swoim talerzem naprzeciw mnie, oddzielony wąską przestrzenią białego obrusa, i z nadłyżki dymiącej zupy, którą podniósł do warg, uśmiechnął się niewesoło z żartów gospodarza rozweselającego siebie i nas nas naprzekór wszystkim.

mu dookoła. Nazajutrz krzesło było puste i talerz był pusty. Choćla zacierka została rozdzielona między talerze stojące przed nami, którzy siedzieliśmy przy stole żywi — jeszcze żywi i podnosiliśmy do warg łyżki z zacierką, gdy na jego wargach leżał już piasek.

No tak. No tak. A teraz na piasku kwitną petunie i cieszą oczy przechodzących, tych, jacy wiedzą mniej niż te dzieci, które je sadziły, jacy wiedzą tyle, że: przyjemnie jest, gdy dworzec kolejki podmiejskiej wygląda normalnie już obsadzony kwiatami.

Normalnie już śpieszą spokojnym pośpiechem ludzie z kolejki do okolicznych willi i domków, gdzie mieszkają także, o ile to już dziś możliwe, normalnie.

Wymijam ich.

Oto dom. U schodków werandki sukam przez chwilę klucza w torebce. Otworzę drzwi. Zrobiłam krok — pierwszym spojrzeniem natrafiam na uniesione nieco od podłogi i szeroko ku mnie otwarte skrzydełko ptaka... Ruch — jakby chciał rzucić się porzyweco w drzwi do mnie, wstrzymany przez pręty kosza!

Wstrzymany przez pręty kosza, czy przez... Nie robię drugiego kroku. Po co! Małe ciałko zastygło w tym ruchu i zeszywniało już dawno.

Wyjmuję z torebki drobinę surowego mięsa w pergaminie i kładę za siebie na poręcz schodków. Kot pani Luni, jej pieszczoły popielaty Miś, wywęszył je tu za chwilę. Trzeba też oddać Luni nie potrzebny już kosz.

Więc jednak będę musiała uprzętać to, co rano było trzepoczącym się ptakiem o polyskliwych, jak szmaragdy piórkach. Prześliznęła piórka są teraz bez blasku, bez barwy. Garść pierza.

Podłoga zarzucona drzewnymi drzazgami. Biorę koszyk za dno i podnoszę go z nad nieruchomego dzieciola. Cóż to jest? Wiklinowe pręty polamane gęsto. Liczne i mocne były uderzenia dzioba.

Kuś drogę do swobody? do nasycenia się? do ucieczki przed bólem? Nie wiem. Nie dowiem się już. Ale jeżeli te siły miał w sobie dlaczego przestał nagłe żyć? Dziwne jak nie nie waży na dloni ptak — martwy.

Już i kosz do papieru wyniosłam także.

Jest, jak było wczoraj: w ciasnej szklanej przestrzeni stłoczone: waskie żelazne łóżko, dwa krzeselka, stół, dzbanek, miednica, wieszadło na piasek i kapelusze a mam tak dużo miejsca koło siebie, że nie mogę go zapelnąć!

Gaszę lampę, którą zapaliłam przed sekundą i ide w ciemny ogród bylejaką ścieżką.

Ewa Szalburg - Zarembina

JAN MYDLARSKI

W sprawie ewolucji i pochodzenia człowieka

Jest rzeczą zupełnie nieoczekiwaną i dziwną, że w Polsce w ostatnich czasach rozwinęła się dyskusja na temat pochodzenia człowieka i ewolucjonizmu, przy czym dyskusja ta przypomina zeszlowlęte spory dotyczące tego zagadnienia. Dziwi to zwłaszcza przyrodników, którzy transformizm uważają za jeden z kamieni węglanych biologicznego poglądu na świat.

Z końcem ubiegłego i początkiem bieżącego stulecia dyskusja toczyła się jedynie na temat mechanizmu przekształceń form organicznych. Zagadnienie to stało się zwłaszcza aktualne z chwilą narodzenia genetyki, to jest nauki o dziedziczności. Poglądy bowiem twórców teorii ewolucji na proces przekazywania cech z rodziców na potomstwo nie odpowiadały rzeczywistości. W początkowym rozwoju genetyki zdawało się, że czynniki dziedziczne czyli jak je nazywamy geny, są czymś niezwykle stałym i niezmiennym — a to nie dało się pogodzić z labilnością form zwierzęcych i roślinnych, którą stwierdza paleontologia. Z kolei prace Johannsena nad procesami selekcyjnymi zdawały się przeczyć podstawowemu założeniu teorii Darwina, który właśnie w doborze naturalnym upatrywał jeden z mechanizmów transformizmu. Z początkiem XX-go wieku jedynie paleontolodzy, mający do czynienia z olbrzymimi okresami czasu, pozostali wierni ortodoksyjnym teoriom ewolucji, podczas gdy biolodzy stanęli wobec tych zagadnień beznadnie. Zaznaczyła się wówczas wyraźna kontrowersja między paleontologami a

genetykami. Ten stan rzeczy jednak nie trwał długo. Olbrzymi rozwój genetyki w ciągu ostatnich czterdziestu kilku lat pogłębił zrozumienie organizmów żywych oraz wykazał, że geny są tylko czymś względnie stałym, warunkującym rozwój organizmu, ale i one podlegają moga różnorodnym przemianom, które w dostateczny sposób tłumaczą nam mechanizm procesów ewolucyjnych. Z drugiej strony paleontologia operująca coraz to bogatszym i obfitszym materiałem kopalnych zwierząt i roślin, doszła do wykrycia szeregu bardzo znamienych prawidłowości, dotyczących rozwoju świata form żywych. Dwa te prądy, idące z jednej strony od paleontologii, a z drugiej strony od genetyki, zaktualizowały na nowo w ostatnich latach zagadnienie mechanizmu procesów ewolucyjnych, gdyż sam fakt ewolucji względnie transformizmu nie podlegał od lat kilkudziesięciu żadnej wątpliwości. Oczywiście człowiek należy do tego samego kręgu istot żywych jak wszystkie inne zwierzęta czy rośliny, podlegać zatem musi wszystkim tym samym prawom, jakim podlega świat organiczny, a więc transformizm musi się stosować także i do niego. Pod tym względem nie może być najmniejszej wątpliwości. Dziwnym jest przeto, że w Polsce rozwija się dyskusja na ten temat dawno przebrzmiała i zupełnie nieaktualny. Dyskusja bowiem toczyć się może jedynie na temat czynników, wywołujących te zmiany, to jest na temat samego mecha-

nizmu procesów przemian form organicznych.

Przypatrzmy się najpierw, jakich faktów dostarcza nam paleontologia. Otóż pierwszym tego rodzaju i najważniejszym faktem, stwierdzanym przez paleontologię jest nieodwracalność procesów ewolucyjnych. To znaczy, gdy jakiś organizm w swym całości kształcie zaczyna się zmieniać, to te zmiany potęgują się z pokolenia na pokolenie przez dziesiątki, setki i tysiące pokoleń. W przebiegu tych zmian nie ma nawrotów i nie ma cofań. Mogą to być przy tym zmiany zarówno progresywne czyli rozbudowujące i komplikujące budowę organizmu, jak i regresywne, upraszczające dany organizm. Drugim rysem charakterystycznym transformizmu są z jednej strony długie okresy powolnych przekształceń, które paleontolodzy nazywają adaptogenezą, przezywane nagłymi, zasadniczymi zmianami budowy organizmu, które w paleontologii noszą nazwę typonogeny. One to dają początek nowym wielkim grupom zwierząt czy roślin. Trzecim charakterystycznym zjawiskiem jest kierunkowość przekształceń poszczególnych organów, włączająca się ściśle z zasadą nieodwracalności procesów ewolucyjnych. Pozwala to na ułożenie poszczególnych form zwierzęcych w szereg rozwojowy od pra-przodków z przed milionów lat aż do form dzisiaj żyjących. Tego rodzaju szeregi nazywamy szeregami ortogenetycznymi. Jednym z zasadniczych rysów tych procesów jest zatem ich kierunkowość czyli ortogeneza. Następnie waż-

nym jest również stwierdzenie, że procesy ortogenetyczne prowadzą często do tak zwanej hiperspecjalizacji. Polega to na przeroście pewnych organów, których rozwój przekracza potrzeby zwierzęcia i staje się wreszcie szkodliwym dla niego. Jest to bardzo znamieny fakt, wskazujący że czynniki powodujące tego rodzaju hiperspecjalizację, przekraczającą granicę korzystnego przystosowania zwierzęcia do środowiska, nie mogą leżeć ani w samym środowisku ani w procesach selekcyjnych. Hiperspecjalizacja prowadzi bowiem bardzo często do śmierci gatunku. Wskazuje to na to, że czynniki przekształcające dany organ muszą leżeć w wewnętrznych właściwościach samego organizmu i powodować u zwierzęcia zmiany, przebiegające niezależnie od środowiska. Dalej wiele światła na całe to zagadnienie rzucają fakty przebiegu rozwoju ortogenetycznego, nie prowadzące do „celowych” przystosowań. Zjawiska te nazwał O. Abel „*fehlgeschlagene Anpassungen*”. Oczywiście nazwa ta zawiera logiczną sprzeczność, jednakowoż w bardzo trafny sposób ujmuje istotę zjawiska. Tego rodzaju „nieudane kierunki specjalizacyjne” znany wśród wielu grup zwierzęcych, a fakt istnienia procesów ortogenetycznych, niedostawianych do warunków życia, świadczy o tym, że raz wszczęty rozwój w danym kierunku specjalizacyjnym stanowi jak gdyby przymus dalszego postępowania w tym samym kierunku, bez względu na to, czy to jest z punktu widzenia potrzeb danego organiz-

mu celowe czy też szkodliwe. Przyczyny tego rodzaju procesów rozwojowych muszą zatem leżeć w wewnętrznych właściwościach organizmu a nie w środowisku. Wreszcie badania paleontologiczne wskazują na to, że w grupach zwierząt blisko ze sobą spokrewnionych szeregi ortogenetyczne przebiegają w podobny sposób, dając równoległe linie rozwojowe. Wszystkie dotąd poznane zjawiska wskazują na to, że procesy ewolucyjne nie mogą być wynikiem ani bezpośredniego ani pośredniego wpływu środowiska, ale raczej przemawiają za tym, że musimy przyjąć pewien wewnętrzny mechanizm, który niezależnie od środowiska ustala kierunek rozwoju rodowego. Mechanizmu tego zatem szukać musimy w istotnych właściwościach plazmy zarodkowej.

Jak wiadomo, istnieją zasadniczo dwie grupy zapatrywań na mechanizm ewolucji, z których jedną dla uproszczenia nazywać będą lamarckizmem, a drugą darwinizmem. Pierwsza z nich zakłada, że organizm posiada zdolność do celowego reagowania za pomocą przemian postaciowych na bodźce, pochodzące ze środowiska. Stąd wytwarza się zjawisko celowego przystosowania się do aktualnych potrzeb organizmu. Funkcja organizmu wytworzona skutkiem oddziaływania środowiska, jest czynnikiem kształtującym. Funkcja jest zatem czymś pierwotnym, wtórnym natomiast jest przekształcenie morfologiczne. Funkcja, wyzwolona przez czynniki środowiskowe, powoduje przestrojenie się organizmu i w ten sposób pozwala na utrzymywanie równowagi między nim a środowiskiem. Istotą tego poglądu jest fakt, że siła kształtująca leży właściwie wewnątrz organizmu i ona to dokonuje owych przestrojeń budowy, jednakowoż nie działa samodzielnie, ale jest pobudzana przez bodźce, wychodzące ze środowiska. Jak z tego wynika w tym ujęciu zmienność form sama w sobie jest celowa, bo wynika z celowego reagowania organizmu na bodźce środowiskowe. Druga grupa poglądów w przeciwnieństwie do pierwszej zakłada, że siły kształtujące proces ewolucyjny leżą w selekcji, jest to zatem mechanizm, wytwarzany przez samo środowisko. Organizmy dają jedynie chaotyczną zmienność form, idącą w różnych kierunkach, a dopiero selekcja, będąca wyrazem czynników środowiskowych, dobiera do rozrodu osobników bardziej dostosowanych do środowiska, a eliminuje niedostosowanych. Zasadniczą rolę gra tutaj przypadek. Tego rodzaju ujęcie procesów ewolucyjnych jest właściwie czysto mechanistyczne i zakłada, że sama zmienność form jest bezcelowa, a nadaje jej celowość dopiero selekcja.

Jak wyglądają teraz te zagadnienia w oświetleniu współczesnej genetyki? Trwałą zdobyczą współczesnej genetyki jest stwierdzenie, że każdy organizm posiada sobie właściwą substancję dziedziczną, która przekazuje się z pokolenia na pokolenie według dostatecznie znanych praw dziedziczności. Drugą zdobyczą tej nauki jest stwierdzenie, że substancja dziedziczna jest w przeważnej części umiejscowiona w jądrze komórek rozrodczych, a w szczególności w chromosomach, które zawierają geny. Zespół tych czynników dziedzicznych czyli genów tworzy tak zwany genotyp. On to zakreśla sposób rozwoju organizmu w różnych warunkach środowiskowych. Wszystkie dziedziczne zmiany organizmu zarówno dotyczące formy jak i funkcji są jedynie zmianami genotypu i one tylko mogą być brane pod uwagę w procesach ewolucyjnych. Zarówno w przyrodzie jak i w laboratorium obserwujemy spontaniczne zmiany genotypu, które nazywamy mutacjami. Badania cytologiczne, przeprowadzane w związku z tym zjawiskiem wykazały, że tego rodzaju mutacje możemy podzielić na trzy zasadnicze typy: 1) mutacje genowe, polegające na zmianie jednego genu, są one ilościowo przeważające. Gdyby nie było genowych mutacji, nie moglibyśmy stwierdzić prawidłowości mendelowskiego dziedziczenia, gdyż wszystkie tak zwane w genetyce allelomorfy są pochodzenia mutacyjnego. 2) Drugą formą mutacji są zmiany chromosomowe. Polegają one bądź na wypadnięciu jakiegoś odcinka chromosomu, bądź na odwróceniu się, na przemieszczeniu się danego odcinka z jednego na drugi chromosom itp. 3) Wreszcie znamy również tak zwane mu-

tacje genomowe, polegające na ilościowym zwiększeniu lub zmniejszeniu całego zespołu chromosomowego czyli genomu. Oprócz krzyżówek są to jedyne czynniki, które dają dziedziczną zmienność form. Stwierdzono ponadto, że mutacje mogą dotyczyć najrozmaitszych cech, zarówno morfologicznych jak i fizjologicznych, zarówno drobnych i trudno uchwytnych właściwości jak i cech mających podstawowe znaczenie dla organizmu.

Zachodzi teraz pytanie, czy mutacje, będące materiałem procesów ewolucyjnych, mogą dawać owe prawidłowości w przebiegu tych procesów, na które wskazuje paleontologia, a więc nieodwracalność, kierunkowość, równoległość itp. Trzeba tutaj bezstronnie przyznać, że większość biologów, zajmujących się tym zagadnieniem, dopatruje się mechanizmu ewolucji w procesach selekcyjnych, zgodnie z dawnym ujęciem K. Darwina. Moim zdaniem jednak selekcja nie wystarcza na wyjaśnienie ani nieodwracalności ani ortogenety, ani równoległości rozwojowej, ani „nieudanych kierunków specjalizacyjnych”. Wobec bowiem zmieniających się warunków środowiska w ciągu olbrzymich okresów geologicznych byłoby zupełnie do pomysłenia nawroty i cofania się w rozwoju rodowym zwierząt, które nie występują w świetle danych paleontologii. Wobec tego wydaje mi się, iż mimo twierdzenia współczesnej genetyki, że mutacje są chaotyczne, to jako teoretyczny postulat musimy przyjąć ortomutacje. Pod tym terminem rozumiem mutacje kierunkowe, dotyczące tego samego genu. Stwierdzenie ortomutacji w warunkach laboratoryjnych nie jest w tej chwili możliwe, gdyż musielibyśmy tutaj rozporządzać bardzo dużą ilością pokoleń na miarę geologiczną, więc co najmniej około 10,000 generacji. Ze względu na długi potrzebny do tego okres obserwacji taki eksperyment jest w tej chwili niewykonalny. Ortomutacjami dałoby się wyjaśnić również tę dwufazowość procesów ewolucyjnych wykrywaną przez paleontologów, czyli adaptogeneza i typogeneza. W organizmach istnieje pewna, że się tak wyrazi, nierozkładalna część genotypu, pewna część organizmu niemendliująca. Ona ma jednak znaczenie zasadnicze i decyduje o przynależności poszczególnych osobników do większych grup systematycznych. Moglibyśmy przyjąć, że przyczyną tego jest homozygotyczność tych cech w całym gatunku i niemutowanie ich w ciągu bardzo długich okresów czasu. Czynniki wywołujące mutację genową muszą niewątpliwie powodować zachwianie równowagi fizykochemicznej w drobinach, tworzących gen.

Znaną jest w genetyce eksperymentalnie stwierdzona labilność poszczególnych części chromosomów. Otóż w miarę działania przez długi bardzo szereg pokoleń bodźców, wyzwalaających mutacje, możnaby przyjąć, że coraz to większe grupy genów stają się niejako uwarżliwione na te bodźce, aż w końcu ten powolny stan zachwiania równowagi może spowodować mutację tych zasadniczych, dotąd nierozkładalnych części genotypu i wywołać makromutację, która prowadzi do zasadniczych zmian w budowie względnie funkcji organizmu. Odpowiadałoby to typogenezie, to jest skokowej formie ewolucji, rozpoczynającej nową fazę rozwoju grup zwierzęcych, która w dalszym ciągu rozplywa się w szeregu linii mikromutacyjnej adaptogenezy.

Pochodzenie człowieka od form zwierzęcych nie może ulegać wątpliwości, jak nie ulega z dawną już żadną wątpliwością przynależność człowieka do rządu Naczelnych i najbliższego pokrewieństwa z małpami człekokształtnymi. Stwierdzają to już dostatecznie liczne i bardzo drobniagowo przeprowadzone analizy budowy człowieka i małp człekokształtnych, jak też powolnictwa fizjologiczne, do których należą również podobieństwa w budowie białka. Poglądy na rozwój rodowy form wiodących do człowieka są różne. Zmieniają się one również w związku z coraz to nowszymi odkryciami paleontologicznymi. Nikomu jednak z przyrodników nie przychodzi do głowy, ażeby człowieka odłączyć od świata zwierzęcego i traktować jako oddzielnie. Nie ma do tego najmniejszych podstaw i dyskusja na ten temat jest bezprzedmiotowa. Dyskutowane są jedynie kwestie, jak daleko sęga w głąb czasu sa-

modzielność rozwoju człowieka. Niewątpliwie drzewo rodowe człowieka było wspólne z dzisiejszymi antropoidami, są one zatem bezwątpliwa naszymi najbliższymi krewniakami. Kierunki specjalizacyjne dzisiejszych małp człekokształtnych są jednak inne, aniżeli człowieka, musimy przeto w przeszłości szukać takich form, które by nie wykazywały tych rozbieżnych specjalizacji, łącząc w sobie cechy jednych i drugich. Na podstawie dotychczasowych naszych wiadomości paleontologicznych grupą nie wykazującą tak wyraźnych kierunków specjalizacyjnych są tak zwane Dryopithecidae, występujące w miocenie Europy, Azji i Afryki. Ta niezbyt daleko posunięta specjalizacja uwydatniła się głównie w budowie zębów i żuchwy. Jednakowoż już w środkowym miocenie i w pliocenie zaczynają się coraz jaskrawiej uwydatniać kierunki specjalizacyjne, odrębne. Stąd też wspólnego pnia łączącego człowieka z antropoidami należałoby szukać na przełomie oligocenu i miocenu u hipotetycznych form, które można by nazwać prae-Dryopithecidae. Wówczas to musiało nastąpić rozdzielenie się jednych form, rozwijających chwytną stopę, dłuższe kończyny górne aniżeli dolne, wydłużających część twarzową a w związku z tym przekształcających łuk zębodołowy na wzór litery „U” wraz z silnym rozwojem kłów oraz szeregiem innych cech, które tutaj pomijam. Ten kierunek specjalizacyjny wiedzie aż do dzisiejszych antropoidów. Z drugiej strony musiała się w przeciwieństwie do tamtej nadrzecznej grupy stopniowo wyodrębnić grupa naziemna, której specjalizacja polegała na przekształcaniu się stopy na marszowo-napędową, na wydłużaniu się kończyn dolnych, które stają się dłuższe aniżeli górne, na stopniowej pionizacji postawy, na stopniowym skracaniu się twarzoczaszki a rozwoju mózgowoczaszki, z czym wiąże się rozwój centralnego systemu nerwowego. Równocześnie ze skracaniem się twarzoczaszki musiało następować przekształcanie się łuku zębodołowego, przybierającego kształt szerokiej paraboli, przy czym kły wykazują tendencję do pomniejszania się. Kierunek ten prowadzi do form ludzkich. Grupą silnie odchylającą się w tym właśnie kierunku specjalizacyjnym są tak zwane Australopithecinae, żyjące na terenie Afryki. Coprawda wiek tych znalezisk jest niepewny, albo jest to koniec trzeciorzędu albo czwartorzęd. Jednakowoż nawet gdyby ten ostatni wiek był prawdziwy, to należałoby je uznać za relikty trzeciorzędowe, gdyż linia wiodąca do człowieka musiała przechodzić przez formy bardzo do nich zbliżone. Były to bowiem zwierzęta naziemne, prawdopodobnie o prawie sponizowanej postawie, o zębach i łuku zębodołowym zbliżonym do człowieka jak żadne inne z pośród antropoidów, o stosunkowo dobrze wysklepionej mózgowoczaszce przy znacznie jeszcze wydłużonej części twarzowej. Na początku czwartorzędu napotykamy na formy niewątpliwie ludzkie, dzielące się jak gdyby na dwie grupy. Jedną grupę ujmujemy nazwą rodzajową Pithecanthropus. Występuje ona na terenie Jawy (erectus), Chin (pekinensis), Afryki (njarasensis) i Europy (heidelbergensis). Wszystkie one charakteryzują się wąłami nadoczołowymi, niskim sklepieniem czaszki, silnie w tył pochylonym czołem, specyficznym układem kości potylicznej itd. Są to istoty niewątpliwie dwunożne, a jak o tym świadczą znaleziska chińskie posiadają pierwotną kulturę paleolityczną i znajomość użytku ognia. Należy im przypisać znaczny rozwój psychiczny. Druga grupa form, występujących w wczesnym czwartorzędzie charakteryzuje się brakiem wałów nadoczołowych, wysklepioną potylicą, przy dużym prymitywizmie uzębienia. Ta grupa reprezentowana jest jak dotąd przez znalezisko z Piltown i nosi nazwę Eoanthropus. Przypuszczać należy, że obie te grupy muszą pochodzić od wspólnych przodków, żyjących prawdopodobnie jeszcze z końcem trzeciorzędu.

Obok tych form występują jeszcze na Jawie i w Chinach niedawno odkryte formy olbrzymie. Są to Meganthropus palaeojavanicus na Jawie oraz Gigantopithecus w Chinach. Na podstawie prawidłowości,

stwierdzonych w rozwoju rodowym zwierząt, musimy uznać formy te za gałęzie boczne wymarłe. Dalszy rozwój wiedzy od grupy Pithecanthropus z jednej strony do wyspecjalizowanych w odmiennym kierunku form neandertalskich, z drugiej strony poprzez mało wyspecjalizowane formy kręgu neandertalskiego do człowieka współczesnego. Poza tym z kręgu Eoanthropus da się teoretycznie wyprowadzić bezpośrednio człowieka współczesnego. Odrębny kierunek specjalizacyjny zarówno zachodnio - europejskich jak i jawajskich form neandertalskich polegał na rozbudowie mózgowoczaszki w płaszczyźnie poziomej, a nie w pionowej jak u człowieka współczesnego. Dlatego też duża pojemność mózgu form neandertalskich miała zupełnie inny charakter aniżeli u człowieka współczesnego. Biorąc pod uwagę nieodwracalność procesów ewolucyjnych z tego rodzaju form neandertalskich nie da się wyprowadzić człowieka współczesnego. Przypuszczać zatem należy, że są to również formy wymarłe. Natomiast istniejące stosunkowo mało wyspecjalizowana grupa kręgu neandertalskiego, o znacznie mniejszych czaszkach, z której dałoby się teoretycznie wyprowadzić człowieka współczesnego.

Obraz powyżej naszkicowany jest oczywiście hipotetyczny, został on jednak ujęty na podstawie prawidłowości, stwierdzanych przez paleontologię w rozwoju innych grup zwierzęcych. Oczywiście trudno wchodzić tutaj w szczegóły, które wymagałyby znacznie szerszego potraktowania tych zagadnień, aniżeli to jest możliwe na tym miejscu.

Należy tu jeszcze poruszyć sprawę rozwoju psychicznego człowieka. Dziwnym jest, że wielu przyjmuje bez zastrzeżeń rozwój morfologiczny człowieka z form zwierzęcych, natomiast odrzuca a priori rozwój psychiki ludzkiej. Stanowisko to wydaje mi się niekonsekwentne. Ci sami bowiem ludzie, którzy tak negatywnie ustosunkowują się do stopniowego rodowego kształtowania się psychiki ludzkiej, nie dziwią się ontogenetycznemu kształtowaniu się tej psychiki i przyjmują je jako fakt zupełnie zrozumiały i naturalny. A przecież nawet najgenialniejszy człowiek był kiedyś tylko grudką protoplazmy, był istotą jednokomórkową a „psychika” jego ograniczała się wówczas do jeszcze mniej skomplikowanych reakcji, aniżeli wykazują pierwotniaki. W ciągu rozwoju ontogenetycznego „psychika” ta narasta w miarę przeobrażania się morfologicznego. Oba te zjawiska idą ściśle ze sobą w parze. A przecież rozwój rodowy jest procesem tego samego rzędu co rozwój ontogenetyczny. Rozwój psychiki musiał odbywać się w podobny sposób przez stopniowe narastanie idące w ściślejszą łączność z rozwojem morfologicznym i doskonaleniem się systemu nerwowego. Tego rodzaju stanowisko jest najzupełniej obiektywne, gdyż w nauce musimy rozpatrywać te zjawiska w taki sam sposób jak wszystkie inne. Nie możemy natomiast do rozpatrywania tych zjawisk przyjmować apriorystycznych tez traktowanych jako „objawienie”, aby z nich dopiero wyprowadzać interpretację faktów przyrodniczych. Sprawy wierzeń religijnych leżą na zgoła innej płaszczyźnie aniżeli fakty naukowe.

Jan Mydlarski

OGÓLNOKRAJOWA WYSTAWA POWOJENNEJ KSIĄŻKI POLSKIEJ

W ramach tegorocznego „ŚWIĘTA OŚWIATY” Związek Księgarzy Polskich — Koło Łódzkie w porozumieniu z Wojewódzkim Komitetem Święta Oświaty — organizuje w lokalu Zarządu Miejskiego przy ul. Zeromskiego Nr 105, OGÓLNOKRAJOWĄ WYSTAWĘ POWOJENNEJ KSIĄŻKI POLSKIEJ.

W wystawie udział wezmą wszystkie instytucje wydawnicze — działające od chwili wyzwolenia na terenie całego państwa i reprezentujące odcinek państwowy, spółdzielczy i prywatny inicjatywy wydawniczej.

Osobne — szczególnie starannie przygotowane działy stanowią będą książki o ziemiach zachodnich oraz dzieła ilustrujące martyrologię narodu polskiego podczas okupacji hitlerowskiej.

Wystawa ilustrować będzie zbrodnie popełnione na książce polskiej przez okupanta i obecny stan wysiłków poświęconych odbudowie naszego dorobku wydawniczego.

Wystawa otwarta będzie od 4.V. do 1.VI. 1947 r. włącznie, w godz. od 10-ej do 13-ej i od 15-ej do 18-ej. Wstęp wolny.

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

Dwie książki i pewna dyskusja^{*)}

W przedmowie do „Psychologii małp“^{*)} autor, znakomity biolog polski, stwierdza, iż książka ta stanowi właściwie ostatni rozdział „Psychologii zwierząt“ tworząc zarazem zamkniętą całość. Istotnie, zarówno temat jak i sposób jego potraktowania, przemawiają za tym, iż dopiero oba dzieła razem stanowią wyczerpujący przegląd aktualnego stanu biopsychologii.

„Psychologia zwierząt“ — pisze prof. Dembowski we wstępie — „z pewnością należy do najstarszych nauk“. Istotnie, zachowanie się zwierząt oddawna było przedmiotem obserwacji i opisów. Jednakże stan „przednaukowy“ tej dziedziny wiedzy trwał bardzo długo. Biopsychologia — w większym jeszcze stopniu niż inne nauki przyrodnicze ulegała wpływom teorii i dogmatów filozoficznych. Złożoność zjawisk psychicznych, trudności metodologiczne związane z ich badaniem, łatwość płytkiej i dowolnej ich interpretacji — stanowiły poważną trudność na drodze unaukowania materiału obserwacyjnego. Dopiero w ostatnich czasach biopsychologia wkroczyła na właściwe tory i zbliżyła się pod względem ścisłości osiąganych wyników do innych nauk biologicznych. Dwa zasadnicze kierunki dawnej biopsychologii — antropomorfizm (życie psychiczne zwierząt, motywy ich postępowania i władze umysłowe nie różnią się zasadniczo od ludzkich) i kierunek mechanistyczny zainicjowany przez Kartezjusza (zwierzęta — to żywe, bezduszne maszyny) nie pozostawały od niedawna bez wpływu na autorów, opierających się nawet na nowoczesnych metodach badania. Przejaskrawienia skrajnych zwolenników zasady postępowania w pewnym sensie echem antropomorfizmu, „atomistyczne“ podejście do zjawisk psychicznych ma znamiona dawnych mechanistycznych rozwiązań.

Naukowy, postmetafizyczny okres rozwoju biopsychologii zapoczątkowany został przez szereg badaczy końca XIX w., spośród których Dembowskiego stawia na pierwszym miejscu Lubbocka, właściwego inicjatora ścisłych metod badania psychiki zwierząt i doświadczeń podporządkowanych rygorom naukowego myślenia.

Na przykładzie dzieł nauki o życiu psychicznym zwierząt autor snuje interesujące rozważania o drogach, jakimi kroczy nauki przyrodnicze w swym rozwoju. „Punktem wyjścia zagadnienia bywa zwykle jakieś pojedyncze spostrzeżenie, często pospolite i dawne, któremu ktoś nadał nową i interesującą interpretację. Zjawisko obrzuca swoje nazwę, oczywiście grecką, i od tej chwili zyskuje prawo obywatelstwa w nauce, zaczynamy operować nim jako jednostką znaną, chociażbyśmy nie rozumieli go wcale. Sprawa zaciekawia ludzi, zaczynają się poszukiwania zjawisk analogicznych i wkrótce okazuje się, że są one bardzo liczne i bardzo rozpowszechnione, nie zwracano na nie tylko uwagi. Gdy zgromadzono już poważny materiał faktów, rodzi się teoria, która jednoczy i klasyfikuje zjawiska, pozwala je wythmaczyć, a nawet przewidywać. Teoria staje się potężnym narzędziem w poszukiwaniach, skupia ona dokoła siebie licznych badaczy różnych krajów i narodów, i w wyniku zgodnych usiłowań liczba faktów potwierdzających teorię wzrasta niemal bezgranicznie. Teoria staje się poglądem panującym, wyłącza ona wszelkie inne tłumaczenie zjawisk, jest powszechnie i bezapelacyjnie obowiązująca. Ale wtedy zaczyna się krytyka, rzecz ciekawa, podaje tymi samymi drogami rozwoju. Jej punktem wyjścia jest jakiś pojedynczy drobny fakt, niezgodny z klasyczną teorią. Sprawa zwraca na siebie uwagę, zaczynają się poszukiwania faktów analogicznych i niebawem liczba ich wzrasta tak bardzo, że słuszność teorii zostaje poważnie zakwestionowana. W końcu teoria zostaje powszechnie odrzucona, jako sprzeczna z faktami.“

Wstępuje na scenę nowe pokolenie badaczy, które nie przeżyło osobiście sporów i swarów swoich ojców i które chciałoby spojrzeć na sprawę spokojnie, beznamyślnie. Przede wszystkim zaś pragnęłyby zastosować do zjawisk bardziej nowoczesne metody badania. Wtedy zaś wychodzi na jaw, że ogromna większość faktów, zdobyta przez oba walczące oboje, jest bezwartościowa, gdyż była wynikiem stosowania nie dość dokładnych metod. Okazuje się, że krytyka miała wiele słuszności, ale że i w pierwotnej teorii tkwi ziarenko prawdy, jakkolwiek sprawa jest daleko bardziej skomplikowana, niż dotąd myślano. Co zaś najciekawsze, drugoletni spór toczył się o sprawy drugorzędnej znaczenia, ważne zaś i ciekawe jest coś zupełnie innego, co luźno tylko wiąże się z przedmiotem sporu, choć historycznie z niego się wywodzi.“

Opis ten wydaje się bardzo trafny. Nie uwzględnia jednak autor tego, iż w miarę doskonalenia się narzędzi wiedzy możliwości dowolnych interpretacji stale się zmniejszają, że amplituda oscylacji poglądów naukowych stale się kurczy a stąd — stały wzrost

tego zasobu bezspornych, co najmniej w kręgu określonych zjawisk prawd naukowych, które składają się na stale rosnący żelazny kapitał wiedzy.

Opisany przez Dembowskiego proces rozwoju teorii naukowej, jest natomiast bardzo typowy dla dziedzin naukowych młodych, a taką bezspornie jest biopsychologia. Ciekawą ilustracją tego są dzieje teorii tropizmów. Zjawiska takie jak geotropizm (dążenie w kierunku siły przyciągania Ziemi), fototropizm (dążenie do lub od światła), chemotropizm, galwanotropizm itp. zostały opisane i weszły do każdego podręcznika szkolnego. Powszechność zjawiska nie ulegała, zdawałoby się, wątpliwości, obejmowało bowiem zarówno wiele roślin, jak i sporo zwierząt. Moment krytyczny nastąpił z chwilą, gdy usiłowano znaleźć przyczynę i wykryć mechanizm tropizmów. Pociągnęło to za sobą konieczność wykonania gruntownych badań, co spowodowało poznanie znacznie szerszego kręgu faktów, podważających nie tylko sformułowaną już podówczas przez Loeba teorię tropizmów, ale i bezspornie dotąd interpretację zjawisk. Mechanistyczna teoria tropizmów Loeba, który całe zachowanie się zwierząt sprowadzał do realizacji na bodźce zewnętrzne o charakterze tropijnym, stanęła w jaskrawej sprzeczności z doświadczeniami, wykazującymi m. in. istnienie precyzyjnych mechanizmów regulujących opartych o pracę układu nerwowego.

Okazało się nadto, że tropizmy w „czystej“ postaci są niezwykle trudne do zbadania. Stąd wniosek Dembowskiego: „Organizm rzeczywisty, jak go znamy z doświadczeń, znajduje się zawsze w polu działania zbyt wielu różnorodnych sił, abyśmy mogli spodziewać się matematycznej prawidłowości jego reakcji. W zachowaniu się ustroju tkwi na pewno prawo tropizmu, jest ono jednak zamaskowane nie do poznania przez niezliczone czynniki zewnętrzne i wewnętrzne, które wszystkie razem stanowią zespół warunków, nieskończenie potężniejszy od tropizmów“. W pierwszej części „Psychologii zwierząt“ Dembowskiego referuje różne kierunki nowoczesnej biopsychologii. Interesującą wygląda ocena sławnego behawioryzmu. Kierunek ten, zapoczątkowany w Ameryce przez Watsona, jest nowoczesną kontynuacją poglądów mechanistycznych w psychologii, zrywa on z introspekcją i całą z nią związaną terminologią, poprzestając na interpretacji zachowania się (behaviour) — i tylko zachowania się — zwierząt. Kierunek ten wypracował swoistą metodykę, oparł się na ścisłych, ilościowych eksperymentach (ślusna metoda labiryntu). Ograniczenie zakresu badań tylko do zachowania się okazało się jednak błędem, świadome zamknięcie się w określonym kręgu zjawisk, miało atakować zagadnienie ze wszystkich stron — doprowadziło do zubożenia i szablonu w myśli psychologicznej. Najniebezpieczniejszym przejawem behawioryzmu było jego zastosowanie do człowieka. „Przy pomocy samego tylko systemu odruchów i reakcji nie można wyczerpywać życia duchowego, a już zupełna mrzonką jest możliwość kierowania na tej podstawie życiem społecznym. Rządzą nim swoiste prawa i uczonego behawiorysta w roli kierownika społeczeństw bardzo przedko poczułby się zupełnie bezradny“ — pisze Dembowski.

Niezwykle płodne okazało się powiązanie metod biopsychologii i fizjologii. Znalezione przez Pawłowa wskaźniki fizjologiczne (wydzielanie soków żołądkowych, śliny, — w późniejszych czasach — badanie krążenia krwi, prądów elektrycznych reagujących na bodźce psychiczne), dających się mierzyć i badać ilościowo stało się podstawą nauki o odruchach warunkowych. Metody Pawłowa pozwoliły zbadać wiele zjawisk psychicznych. Odruchy warunkowe i bezwarunkowe, zjawiska hamowania wewnętrzne i warunkowe, to poważne — jeśli nie decydujące — elementy życia psychicznego. Przed szkołą fizjologiczną biopsychologii otwierają się wielkie możliwości. „Z pewnością wspaniałe prace szkoły Pawłowa stanowią trwałą zdobycz nauki i musi się liczyć z nimi wszelka nowa teoria. Nowoczesne badania nad plastycznością systemu nerwowego i zastępczością jego elementów, i tak również bardzo rzadko rozbudowana zasada postaci winny znaleźć wspólny język z zasadą odruchów warunkowych.“

Szukając odpowiedzi na pytanie, które cechy psychiczne zwierząt są wrodzone, a które nabyte, biopsycholog - eksperymentator sięgnął do śmiałyh badań nad embrionami zwierząt. Serie niezwykle zraczyh i dowodnych doświadczeń doprowadziły nas zdaniem Dembowskiego, do wniosku, że „struktura funkcjonuje już przed zakończeniem swego rozwoju, funkcjonuje w innych schematach, pod wpływem innych bodźców, zostaje przełączona z jednego schematu na drugi i właśnie ta wczesna czynność jest nie tylko wynikiem rozwoju, ale i jego bardzo ważnym czynnikiem. Narząd zarodka można porównać z autobotem, który w chwili opuszczenia fabryki jest nie tylko zmontowany we wszystkich szczegółach, ale którego części zostały wypróbowane i „wyrobiliły się“ w rzeczywistej czynności, jakkolwiek autobot nie przeżył jeszcze ani jednego

metra drogi“. O konieczności stosowania dokładniejszych metod i przemyślanych interpretacji w dziedzinie biopsychologii, przekonuje nas chyba najbardziej rozdział poświęcony zagadnieniu instynktu. Każdy z nas był swego czasu zapałym czytelnikiem pięknych dzieł Fabre'a. Pamięamy przygody owadów, którym zadziwiający instynkt każe postępować jak najbardziej celowo w normalnych warunkach i które działają nieodporczo postawione w sytuację niezwykłą. Instynkt, wg. Fabre'a jest wrodzony, ślepy, niezmienny, celowy. Ta definicja stała się niemal klasyczną. Dembowski wykazuje dokładnie całkowitą jej bezsensowność. Dokładne doświadczenia podają w wątpliwość każdy jej człon. Konkluzja: „W obecnym stanie wiedzy używanie terminu „instynkt“ wydaje się niecelowe... Do celów opisu najzupełniej wystarczają inne terminy, jak behawiory, postępowanie zwierzęcia, jego zachowanie się, reakcje działania itp... Można powiedzieć, że ptaki odlatują na zimę do Afryki, a można też rzec, że posładają one instynkt odlatywania do Afryki. Ci, dla których ten drugi sposób wyrażania się jest pełniejszy, bardziej „naukowy“, nie mają kwalifikacji na biologów - eksperymentatorów.“

Część szczegółowa dzieła Dembowskiego poświęcona jest psychologii wybranych przedstawicieli świata zwierzęcego — wymoczka, dżdżownicy, pszczoły, kury, szczura i — w osobnej książce — małp.

Każdy z tych rozdziałów jest opracowany przez autora w sposób jednolity pod względem metodycznym. Są postawione zagadnienia, następuje przegląd literatury naukowej, opracowany w sposób logiczny i systematyczny, niezwykle przystępnie i interesująco ujęty. Dembowski podaje wiadomości „z pierwszej ręki“, wyraźnie wskazując przy tym na luki w dotychczasowym systemie naszej wiedzy, pobudza czytelnika do samodzielnego myślenia. Wprowadzając nas dość szczegółowo w złożoną technikę współczesnej biopsychologii, Dembowski wykazuje piękny dar stwarzania nastroju entuzjazmu naukowego, czyniąc nas świadkami stawania się wiedzy.

Nie sposób dokonać krótkiego choćby przeglądu zagadnień poruszonych w części szczegółowej.

Czytelnik - nieprzyrodnik (a takich książek Dembowskiego będą miały wielu) zdumiony zapewne będzie złożonością świata psychicznego tak „prostego“ zwierzątka, jakim jest jednakomórkoowy pierwotniak-pantofelek, rozległością zagadnień związanych z życiem psychicznym dżdżownicy, złożoną techniką badawczą zmierzającą do zglebienia osobowości pszczoły, istnieniem u kury złudzeń wrozkowych analogicznych do złudzeń wrozkowych człowieka i wreszcie niesłychaną pomysłowością i pracowitością uczonych, badających psychikę szczura, tego klasycznego obiektu badań behawiorystów. Książkę poświęconą psychologii małp czyta równania psychiki małp i człowieka, co zresztą jest intencją autora. Z niezbitą konsekwencją autor wykazuje nie tylko pokrewieństwo małp i człowieka, ale i pokrewieństwo małp i człowieka. Wątpliwym wydaje się twierdzenie, iż mózg człowieka sprzed 30.000 lat był taki sam, jak obecnie. Skoro mamy dane świadczące o znacznym rozwoju w tymże samym czasie mięśni powodujących mimikę twarzy człowieka, trudno przypuścić, iż tak złożony i plastyczny narząd, jakim jest mózg, pozostał niezmienny w strukturze, przy tak niesłychanym skomplikowaniu i wzbogaceniu jego funkcji.

*

Książki Dembowskiego czyta się z wielkim zainteresowaniem, trudno się od nich oderwać. Sprawa to niewątpliwie ciekawa, a mało u nas znany temat, talent popularyzatorski autora, nastroj entuzjazmu dla zdobytych nauk przy jednoczesnej wielkiej roządze i ostrożności w formułowaniu wniosków, wskazania kierunków i perspektyw dalszego rozwoju wiedzy.

Jest jednak jeszcze jeden powód wielkiego zainteresowania, jakie obudza lektura Dembowskiego.

Są to niewątpliwie książki „światopoglądowe“. Czytelnik szuka w nich odpowiedzi na podstawowe zagadnienia bytu i najczęstiej znajduje to, co może w tym zakresie dać nauka współczesna, sformułowane w sposób przejrzysty i beznamyślny.

Czy istnieje zasadnicza różnica między materia żywą i martwą, usprawiedliwiająca istnienie wszelkich form witalizmu i spirytualizmu? Jak powstało życie na ziemi?

„Można doskonale zgodzić się, — pisze Dembowski — że w organizmie nie ma nic, poza materią i rządzącymi nią prawami. Jednak jest to materia swoista, tylko ustrojowi właściwa i rządząca nią prawa są jakościowo odrębne od zależności panujących w świecie nieorganicznym. Powstanie życia na Ziemi było potężnym skokiem w procesie stawania się świata i dlatego też nauki zajmujące się różnorodnymi przejawami życia

powinny badać zjawiska w innej płaszczyźnie, niejako na innym poziomie, niż to czynią nauki nieorganiczne“. W sprawie zaś witalizmu, jako przyrodniczego przebrania idealizmu: „Materialistyczne stanowisko w poznawaniu praw przyrody stało się źródłem tylu ważnych zdobyczy nauki, że trudno jest spodziewać się, abyśmy kiedykolwiek zechcieli powrócić do poglądów zdyskredytowanych. Materializm należy jednak ściśle odróżnić od mechanizmu“. Zjawiska psychiczne należą do właściwości struktur materialnych występujących w postaci zwierząt. Czy istnieje jakaś przepaść pomiędzy życiem psychicznym zwierząt niższych i wyższych, organizmów stojących na krańcowych szczeblach rozwoju?

„Skoro zwierzęta tak bardzo odległe od siebie w systemie jak wymoczek i pies wykazują zasadnicze podobieństwo mechanizmu, nabywania i hamowania odruchów warunkowych, uzasadnione staje się przypuszczenie, że w całym świecie organicznym zjawiska te przebiegają analogicznie“ — pisze Dembowski.

Mamy zatem jeszcze jedną cechę jedności świata organicznego — jedność elementarnych zjawisk psychicznych.

Psychika zwierząt ulegała niewątpliwie ewolucji. Cóż wiemy obecnie o ewolucji, jak zapatruje się nauka nowoczesna na sprawę pochodzenia gatunków, a w szczególności na sprawę pochodzenia człowieka?

Zagadnienie pochodzenia człowieka ostatnio stało się u nas — rzeczą dziwną — aktualne. Dyskusje w tej sprawie zapoczątkował „Tygodnik Powszechny“. Głos zabierają przedstawiciele nauk przyrodniczych oraz przedstawiciele Kościoła. Pierwszeństwo oddano osobom świeckim. W T. P. (Nr 102) piszą o tej sprawie profesorowie Z. Grodzkiński, W. Mozołowski i J. Czekanowski. Najbardziej jak dotąd charakterystyczną cechą tej dyskusji jest to, że najmniej mówią o niej... o pochodzeniu człowieka. Prof. Grodzkiński w poprawny sposób referuje dzisiejszy stan ewolucjonizmu. „Dzisiaj sama ewolucja gatunków, tzn. przekształcania się jednych form w inne nie ulega wątpliwości, jest powszechnie stwierdzonym faktem i dziś na ten temat ustala wszelka poważna dyskusja“. Mechanizm ewolucji natomiast dokładnie jeszcze nie znamy.

Dane z zakresu biochemii, przytoczone przez prof. Mozołowskiego, przemawiają dobitnie na rzecz poglądu „o genetycznym związku człowieka ze zwierzętami“. Dalszy fragment artykułu poświęcony jest zagadnieniu duszy ludzkiej. Ob. Mozołowski wypowiedział się za fizycznym pochodzeniem człowieka od zwierząt, natomiast przestrzega ze względów moralnych przed rozszerzeniem tej sprawy na duszę ludzką, opierając się na dogmatycznym stanowisku Kościoła. Można i tak, oczywiście. Z chwilą jednak, gdy się tak mówi, przestaje się być biochemikiem, i ma się akurat tyle do powiedzenia w tej sprawie, co każdy osobnik nie będący profesorem U. J.

Spodziewamy się nareszcie zasadniczych stwierdzeń w artykule prof. Czekanowskiego. Niestety! Na wstępie (pomimo obiecującego tytułu) profesor oświadcza: „...moja wiedza w tej dziedzinie może posiadać poważne luki“. Widocznie luki te są istotnie poważne, skoro pomiędzy małpoludem (Pithecanthropus erectus)... a Hitlerem nie ma nic, prócz naukowych... i nienaukowych anegdotek. A gdzie Sinanthropus, Neanderthalczyk, Heidelbergczyk, człowiek z Cro Magnon i wiele innych?

Mało też wnosi do sprawy pochodzenia człowieka oświadczenie treści następującej: „Nawet przy przeglądaniu wydawnictw polecanych jako lektura szkolna można się spotkać z rzeczami bardzo zabawnymi. Nie znam naprawdę tej literatury, z tego jednak co słyszałem, odnośnie wrażenia, iż nie dochodzi tam do tego rodzaju popularyzacji, z jakimi spotkała się moja 11-letnia córka w roku 1940 w szkole. Dowiedziała się ona tam, że małpy przemieniły się w ludzi, gdy wskutek trzesienia ziemi pospadały z drzew i zostały zmuszone do chodzenia“. 11 lat? 1940 rok? — a więc klasa V szkoły powszechnej, przed wojenne programy. Paniąka dowiedziała się na pewno nie od nauczycielki, lecz od koleżanek. Zarty jednak na stronę. Jak dotąd poważnie zapowiedziana dyskusja naukowa nie wniosła nic nowego do sprawy pochodzenia człowieka, Głosy ks. ks. Profesorów (Tyg. Powsz. Nr 103) określają aktualne stanowisko Kościoła w tej sprawie. Wynika z nich, że nauka ewolucyjna łącznie z teorią zwierzęcego pochodzenia człowieka, nie jest obecnie sprzeczna z poglądami Kościoła. Biblijne ujęcie tematu nie powinno być rozumiane dosłownie. Obstaie się natomiast przy boskim, nadprzyrodzonym pochodzeniu duszy ludzkiej. Takie stawianie sprawy jest nowością chyba na naszym tylko gruncie.

Posłuchajmy teraz, co mówi o pochodzeniu człowieka prof. Dembowski.

„Zwierzęce pochodzenie człowieka dziś nie jest już problemem, lecz jest prostym faktem naukowym, co do którego nie istnieje w nauce różnica zdań. Mogą być spory co do szczegółów, można różnie oceniać

*) J. Dembowski: „Psychologia małp“. — Książka, 1946 r. J. Dembowski: „Psychologia zwierząt“ — Czytelnik, 1946 r.

wartość rozmaitych znalezisk kopalnych, ustanawiać je w tej czy innej kolejności czasowej, ale ogólnie wytyczne ewolucji człowieka można uważać za ustalone. Stopniowy rozwój części mózgowej czaszki obok redukcji części szczękowej, rozwój uzębienia w kierunku zaniku tylnych trzonowych i zmniejszaniu się kłów, rozszerzenie kości miednicy i ich bardziej poziome położenie, swoiste ukształtowanie kończyn, specjalne wydłużenie nóg, rozwój stopy i dłoni, pionowa postawa ciała i jej potężny wpływ na kształtowanie wielu ważnych narządów, powstanie podbródka, związane z większą ruchliwością języka i udoskonaleniem mowy,

powstanie ośrodka mowy w mózgu (ośrodek Broca), którego odlew widoczny jest na wewnętrznej powierzchni kości czołowej kopalnych czaszek, stopniowy rozwój kultury przez sporządzanie narzędzi i zwolnienie wielu narządów ciała z ich pierwotnej czynności, wszystko to przesuwają się przed nami jak na dloni. Widzimy naocznie jak człowiek stopniowo wyzwalał się z zależności od otaczającej przyrody, czynnie dostosunkował się do warunków życiowych, słowem jak przekroczył pewien punkt krytyczny. Człowiek pierwotny, Homo primigenius, przekształcił się w człowieka rozumnego, Homo sapiens, który w istocie jest Homo fa-

ber, człowiekiem wyrabiającym narzędzia i zastępującym nimi narządy swego ciała. Nie mniej korzeniami swoimi człowiek pozostaje związany ze światem zwierzęcym i każda jego cecha, każda zdolność, przynajmniej w pierwotnym związku jest właściwa zwierzętom.

Jakie są dalsze możliwości rozwoju psychicznego człowieka? I na to pytanie stara się Dembowska znaleźć naukową odpowiedź pisząc:

„Ze to minimum tkanki mózgowej, która daje możliwość człowiekowi osiągnięcia normalnego rozwoju psychiki, jest przeszło dwa razy większa od maksymalnego ciężaru

mózgu małpy czelkowształtnej, dowodzi, o ile bogatsze jest nasze życie duchowe w porównaniu z antropoidami i jak wielkie są potencjalne możliwości duchowe przeciętne-go człowieka.”

Wiele dotychczasowych zdobyczy biopsychologii znalazło zastosowanie w psychologii, która pod jej wpływem coraz bardziej grawituje w kierunku nauki przyrodniczej, medycynie, w życiu praktycznym. Na ile ostatnio cytowanych słów, jak się zdaje, wyraźnie zarysowuje się obecnie związek pomiędzy biopsychologią a socjologią.

Wi Michałow

MELANIA KIERCZYŃSKA

SPÓR O REALIZM

(na marginesie „Dwóch teatrów” Szaniawskiego)

„Dwa teatry” Szaniawskiego przechodzą ze sceny na scenę. Wystawiły je po Krakowie Katowice, Warszawa. Sztuka cieszy się nieślabnącym powodzeniem. Jak zgodnie podkreśla krytyka, jest to najlepsze osiągnięcie naszej powojennej dramaturgii.

Sztuka ta, napisana w 1945 r., Szaniawski zabrał głos w zasadniczym sporze naszego powojennego życia literackiego, w sporze o realizm, sugerując niewystarczalność realizmu, konieczność wyjścia poza niego, uzupełnienia go irracjonalizmem.

Sugestie tej sztuki były dyskutowane w swoim czasie z okazji jej krakowskiej premiery. Tak np. w dyskusji między Wojciechem Natansonem a Tadeuszem Peiperem przedmiotem sporu było to, czy Szaniawski przeciwstawia realizm teatrowi „Małe Zwierciadło”, „Teatr Snów” jako teatr wyższy, (jak utrzymywał Peiper), czy też traktuje „Teatr Snów” jedynie jako uzupełnienie realizmu teatru (jak twierdził Natanson).

Ani Natanson ani Peiper nie kwestionowali podstawowej sugestii sztuki Szaniawskiego: konieczności wyjścia poza realizm.

Nie byli zgodni ze sobą tylko co do tego, czy to, co ukazuje nam „Teatr Snów” jest — jeśli nie anty-realistyczny, to poza-realistyczny, „dalszym ciągiem”, marginesem życia, mającym wprowadzić swój realistyczny punkt wyjścia, ale z konieczności wybiegającym poza realizm (Natanson), czy też (jak sądził Peiper) — jest samodzielnym światem wyobraźniowym, przy czym wyobraźnia ma być „odrębnym organem prawdy, odrębnym czynnikiem bohaterstwa, i groźnym sąsiadem świata zewnętrznego, biorącym w siebie dalsze ciągi jego spraw”.

Sam autor (w wywiadzie Stefana Flukowskiego: „Dwa teatry jednej rzeczywistości” — „Odrodzenie” Nr 20, 1946 r.) przechyla się raczej na stronę ujęcia Natansona.

„Ja tam nie przeciwstawiam — mówi Szaniawski — tych dwóch koncepcji — realistycznej i wizyjnej — jako dwóch gatunków odrębnych i wzajemnie sobie przeczących. Chodzi raczej o jedną koncepcję teatru, gdzie te dwa czynności są tylko dialektycznymi przedstawieniami tego samego zjawiska”.

Takie ujęcie sfery wizyjnej świadczyłoby o tym, że autor nadaje jej charakter symboliki, czyniłoby z wizji swoisty sposób przedstawienia pewnych stron zjawisk życiowych. Jednakże precyzując w ten sposób swoje stanowisko — które w takim razie nie zakładałoby konieczności wyjścia poza realizm — Szaniawski nie wnosi jasności do sporu, gdyż dalsze jego sformułowania przeczą takiemu ujęciu.

„Każdy z nich (dyrektorów) — mówi Szaniawski w dalszym ciągu wspomnianego wywiadu — reprezentuje połowę racji, które, ze sobą połączone, dają dopiero pełną i bogatą całość”. „...oba dyrektorzy mają swe głębokie racje, o bezwzględny zwycięstwo któregoś z nich nie ma mowy”.

A więc jednak antagonizm obu teatrów? A jednocześnie „uzupełnianie się” wzajemne? Zatem nie tylko różnica środków wyrazu?

Komentarz autorski to niewątpliwie rzecz cenna. Ale — nie bardzo wiemy, jak rozumieć ową połowiczną rację realizmu? I w jaki sposób łączyć się ma owa połowa racji z tą drugą, jeśli nie anty-, to jakąś arealistyczną połową? Takiego „równorzędnego” połączenia realizmu z jakimś poza-realistycznym nie zna żadna dialektyka, ani idealistyczna, ani materialistyczna.

Natanson, szukając analogii do „Teatru Snów”, wskazuje m. in. na „Wesele”, jako na dramat, gdzie widzę posiadają funkcję, rzekomo analogiczną do funkcji, jaką spełniają w „Dwóch teatrach”.

W „Weselu” mamy istotnie połączenie scen realistycznych i wizyjnych w jedną całość, ale w „Weselu” sceny jednego i drugiego typu mogą być przeciwstawione sobie tylko pod względem formalnym, od strony różnicy środków wyrazu — t. zw. symbolicznego i t. zw. realistycznego.

Nie może być mowy o jakiejś połowie racji, właściwej scenom realistycznym „Wesela”, i jakiejś odmiennej racji, wyrażonej przez sceny wizyjne. Jedne i drugie służą wyrażeniu jednej i tej samej prawdy.

Natomiast w „Dwóch teatrach” — niezależnie od tego, jak ujmuje te sprawy autor, — jako komentator swojej sztuki — mamy wyraźnie najgłębszą istotność każdego z tych teatrów, odmienny sens głoszonych przez

nie prawd, mamy bezsprzecznie ich antagonizm.

I mamy „wyższość” „Teatru Snów”, jako ostateczną sugestję.

Ta właśnie podstawowa sugestia sztuki Szaniawskiego — sugestia o niewystarczalności realizmu i konieczności wyjścia poza realizm — wydaje nam się błędna.

Skoro jednak stwierdzamy, że dany utwór jest sztuką z prawdziwego zdarzenia, że jest sugestywny, jednocześnie, że jest w swoich założeniach czy zamierzeniach błędny, musimy wykryć i wyodrębnić te jego elementy, z których owa błędna sugestia płynie, wykryć je w tekście, w tkance słownej utworu, obnażyć mechanizm jego oddziaływania, drogi i chwyt, dzięki którym błędna sugestia zyskuje moc.

Rozkazania niniejsze będą zatem zmierzały do ujawnienia tych momentów w sztuce Szaniawskiego, w których „przyczalę” się musiały jakieś niekonsekwencje czy błędy myślowe, zawarte w jakis sposób przez kontekst utworu, wskutek czego nie rzucają się w oczy, tracą na jasności, tym nie mniej oddziałują, spełniając wyznaczoną im funkcję. Krótko mówiąc, idzie o obnażenie tego, jak sztuka i niesłuszna tendencja współdziałają z sobą w dziele sztuki, jak zdobywa moc oddziaływania to, co „na rozum wzięwszy”, jest nieprzekonywujące.

Akcja „Dwóch teatrów” rozgrywa się na parę miesięcy przed wrześniem 1939 roku. Akt pierwszy przedstawia gabinet Dyrektora teatru „Małe Zwierciadło”. Jest to teatr realistyczny. Jak mówi o nim przywiązany do teatru woźny „...każdy, co do nas przychodzi, to jakby patrzył na prawdziwe życie”. Realizm jest naczelnym postulatem Dyrektora teatru, sprawdzianem, według którego ocenia on przedatność lub nieprzedatność dla „Małego Zwierciadła” proponowanych mu do wystawienia sztuk.

Rzecz dzieje się zrana, za godzinę mają zacząć się próby, Dyrektor przyjmuje interesantów. Przychodzi Autor.

I oto pierwsza rzekoma porażka Dyrektora teatru — realisty.

Autor złożył mu był sztukę, w której jakiś szaleniec inżynier wysadza miasto w powietrze, aby na jego miejsce stanęło nowe, piękniejsze. Pod gruzami ginie narzeczoną inżyniera, młoda, uroczą dziewczyna.

Dyrektorowi teatru trudno zdecydować się na wystawienie tej sztuki. Wskazuje on na to, że można by dać coś takiego w powieści, gdzie czytelnik ma możliwość samoobrony, „jak przez łomkę może oddalić od siebie straszny obraz. W teatrze natomiast bliskość jest zbyt wielka. To, w czym jest groza, może niekiedy wywołać na sali śmiech, albo wzbudzić niesmak. Takie są argumenty dyrektora, który sam jeszcze waha się, nie mogąc rozstrzygnąć w swoim sumieniu artysty, czy udaloby mu się wystawić te sztukę tak, żeby wydobyc z niej grozę a nie brutalność. Nie odmawia Autorowi ostatecznie, ale też i nie akceptuje sztuki.

Po czyjej stronie jest słuszność?

Szaniawski sugeruje: po stronie Autora. Bo przecież walły się mury Warszawy we wrześniu, i walły się podczas powstania. (Akt trzeci rozgrywa się na ruinach Warszawy). Zginęła pod gruzami ukochana przez Dyrektora teatru młoda, uroczą, utalentowana artystka Lizelotta.

To, co Dyrektor uważał za nienadające się na scenę, jako zbyt brutalne, nie mające odpowiednika w rzeczywistości, stało się ciałem.

A jednak — wbrew wszelkim pozorom, słuszność jest nie po stronie Autora, lecz po stronie Dyrektora „Małego Zwierciadła”.

Idem — w danym razie... non est idem. Szaleniec wysadza w powietrze miasto, żeby na jego miejsce zbudować piękniejsze — jest to istotnie, jako wątek sztuki, pomysł mocno wątpliwy, dający w efekcie raczej brutalność niż grozę. Śmierć jego ukochanej dziewczyny pod gruzami może być z łatwością odczytana przez widza w tych warunkach nie jako tragedia, lecz jako melodramat. Tragiczny jest przecież nie sam fakt śmierci ludzi pod gruzami walącego się domu — to zdarza się w pierwszej lepszej katastrofie budowlanej. Tragizm walących się murów Warszawy — to była straszliwa tragedia Narodu, czego nie zawierała i nie mogła zawierać proponowana przez Autora sztuka. Ale widz, chłonący piękne widowisko sceniczne, nie ma możliwości — ani cza-

su, ani swobody myśli — dokonywania koniecznych tu myślowych rozgraniczeń i różnic. To też widz odczuwa tę sytuację w akcie trzecim jako skompromitowanie się realisty — Dyrektora.

Oto scenka z trzeciego aktu, rozgrywającego się wśród ruin, w piwnicy nawpół zburzonego domu.

Woźny: Spotkałem tego z fajką, (mowa o Autorze) co to niegdyś przychodził do pana Dyrektora.

Dyrektor: Tak? i co?

Woźny: A no, stał z fajką przed jakimś zwałonym domem, poznał mnie nawet, podał mi rękę, patrzyliśmy razem, potem pokławił głową i powiada „niesmaczne” — i poszedł.

Dyrektor: Rozumiem. To było pod moim adresem.

Widz jest przekonany, że to Dyrektor Teatru okazał się mały i ciasny, że przerosło go życie, że rzeczywistość okupacyjnych łosów Warszawy przynależała rację Autorowi.

Taka jest pierwsza sugestia „niewystarczalności” realizmu.

Przyjrzyjmy się z kolei następnej. W akcie drugim — środkowym akcie sztuki — teatr „Małe Zwierciadło” wystawia dwie jednoaktówki realistyczne: „Matkę” i „Powódź”. Obie są doskonale zrobione, pełne dramatycznego napięcia.

Oto ich sumaryczna treść.

„Matka”. Miejsce akcji — leśniczówka gdzieś w głuszy. Osoby — prócz „matki”, wiejskiej kobiety, — córka nauczycielka, zięć leśniczy-marzyciel, „pani” — młoda, wytworna, pod nieobecność tamtych dwojga szuka na chwilę w leśniczówce schronienia (pociąg, którym jechała, stanął na szereg godzin w pobliżu z powodu zasp). W fotografii „zięcia” poznaje „pani” człowieka, z którym łączyła ją kiedyś uczucie. Na zadanie „matki” lekajęcej się o małżeńskie szczęście córki, „pani” opuszcza leśniczówkę przed powrotem młodych na obiad. Ale zięć, który tęskni wciąż za tamtą, z rozmową o nieznanym jej wyzwarowuje jej obraz. Nieobecna mać szczęście córki, chociaż „matka” uśmiecha się triumfalnie, że udało jej się na czas wyprosić „panią” z ich domu i nie dopuścić do spotkania. Kurtyna.

„Powódź”. Na poddaszu wiejskiej chaty schroniła się przed podwodnią rodziną — młodzi z niemowlęciem i stary ojciec wieśniaka. Szanse ratunku są niemal żadne, woda bulgocze już pod pułapem. W końcu podłupa łódź. Może wziąć tylko kobietę z dzieckiem, jest straszliwie przepełniona. Jednakże bierze i młodego (Andrzeja), robi on dobrze wioślarzom na łodzi ręce już mdleją. Stary zrozumiał wreszcie, że go zostawiają na pastwę fal, uczył się tedy łodzi. Łódź grozi wywrócenie, wszystkim — śmierć. Więc syn uderza starca wioślarzem po rękach. Stary puszcza łódź. Łódź odpływa, Kurtyna.

Rzecz jasna, iż silne wrażenie, pod jakim widz pozostaje, płynie z realistycznych walorów tych obu jednoaktówek, z prawdy ich postaci i sytuacji, z nieuniknionej tragedii, której nikt nie zawinił.

Twierdzenie, że tragiczny wydzźwięk tych sztuk nie mieści się w realizmie, że dla realisty wszystko kończy się w momencie, kiedy zapadła kurtyna, że nie istnieje dla niego sprawa znaczonego szczęścia „córki” ani wyrzutów sumienia „syna”, że z chwilą, kiedy dziecko i młodzi, zdolni do życia i pracy, zostali uratowani, a „matka” zapobiegła spotkaniu się zięcia z kobietą, którą kochał przed małżeństwem z jej córką, — twierdzenie, że z tą chwilą wszystko jest dla realisty rozwiązane i nie ma dla niego żadnego problemu, — takie twierdzenie nie daje się utrzymać, byłby to realizm dziwnego autoramentu.

A jednak tak właśnie stawia sprawę Szaniawski, z tego założenia wysnuwa konieczność „uzupełnienia” realizmu.

W akcie trzecim widzimy „Teatr Snów” przeciwstawiony realizmowi teatrowi, właśnie jako jego uzupełnienie. Oglądamy w owym „Teatrze Snów” dalszy ciąg tamtych dwóch jednoaktówek, dalszy ciąg, który rzekomo „nie mieści się” w teatrze realistycznym.

Więc najpierw scenka między „matką” a „panią”.

„Matka”. Czemu pani bywa w moim domu? Moja córka płacze.

Zjawia się pani za oknem, czasem koło pianina, przejdzie pani czasem między me-

blami, widzi panią on, widzę ja, widzi panią córka. (Po chwili) Moja córka płacze.

W drugiej scenie przechodzi stary ojciec, wołając żałośnie: „synu! synu!” (Tym wołaniem kończyła się ostatnia scena „Powódź”).

Potem widzimy leśniczego i Andrzeja, siedzących przy stoliku przy butelce.

Andrzej: Został, ale się zjawia. Słyszę czasem ten głos „synu!”

Leśniczy: I ja widzę czasem jej postać... Przejdzie za oknem, gra na pianinie, odjeżdża, ginie — tylko śnieg wokół i drzewa pod śniegiem.

To, co widzimy w tych scenkach, nie jest, rzecz jasna, niczym innym, jak „zmaterializowaniem”, „ucieleśnieniem” tego, co każdy z widzów tamtych jednoaktówek „sam sobie w duszy dośpiewał”. Na tym „dośpiewie” polegał przecież ich całkiem wyraźny sens. „Dokończenia”, które daje „Teatr Snów” nie są niczym innym, jak postawieniem kropki nad i, kropki najzupełniej niepotrzebnej.

Kiedy dyrektor „Małego Zwierciadła” broni Andrzeja, że jest on niewinny śmierci ojca, dyrektor „Teatrów Snów” odpowiada mu:

„A jednak syn słyszy po nocach wołanie. Widzi starca, widzi te ręce, w które bił wioślarz, kiedy się przepięty do odpływającego czółna”.

Na to dyrektor — realista replikuje całkiem dla nas nieoczekiwanie: „Właśnie, więc dlaczego widzi?”

W akcie pierwszym dyrektor „Małego Zwierciadła” jest wrażliwym artystą, nie nie zdradza w nim takiej atrofii wrażliwości i inteligencji, jakiej wyrazem jest to nonsensowne pytanie, żaden realista z prawdziwego zdarzenia nie będzie negował wypadków istnienia winy tragicznej (albo niezawinionej tragedii). Ale w ten sposób ułatwia sobie Szaniawski zadanie. Bowiem dyrektor „Teatru Snów” może w odpowiedzi na tak nonsensowną replikę pouczać swojego realistycznego kolegę na temat tego, że teatr realistyczny „ma swoje trzy wymiary, mądre, praktyczne, celowe, wystarczające w zupełności dla budowy domu, w którym człowiek bytuje, dla wytyczenia drogi, po której pcha także przez życie, dla usypiania kopczyka, gdy już się nie pcha tej łaczki”. Ale — jeżeli trzeba wykryć ukryte uczucie, my to potrafimy, jak nikt inny! Mistrzami jesteśmy w obnażaniu uczuć. Nic się przed nami nie ukryje”.

Wystarcza naturalnie chwila zastanowienia, żeby sugestia tych słów (bowiem wszelkie ładnie zestawione i odpowiednio podane słowa posiadają swoistą sugestię) przysła. Uświadomiamy sobie, że owe dalsze ciągi, jakie widzieliśmy w „Teatrze Snów” świecą wyłącznie światłem odbitym, zapożyczonym od tamtych jednoaktówek, że żadnego nowego uczucia, mimo deklamacji o mistrzostwie w obnażaniu uczuć, nie wykryły i nie obnażyły, a jedynie nazwały to, co w jednoaktówkach czytaliśmy między wierszami albo formułowaliśmy sobie sami po opadnięciu kurtyny. Co więcej — gdyby ten „dalszy ciąg” nie był ujęty w „Teatrze Snów” w tak oryginalne ramy starcia się dwóch teatrów, byłby raczej nieprzyjemny, albowiem obliczony na jakiś niedorozwój widza, kóremu trzeba „łopatać kłosa do głowy”.

I tutaj więc, podobnie jak przy poprzednim „zwycięstwie” nad realizmem, nastąpiło niedostrzeżone przez widza zidentyfikowanie spraw pozornie tylko identycznych. Tam — brutalność obrazu miasta, wysadzonego w powietrze przez szaleńca, została zidentyfikowana z tragiczną grozą okupacyjnych łosów Warszawy. Tutaj — prawdziwy realizm, realizm, który ma zrozumienie zarówno dla czynów jak i dla ich najsłabszych psychicznych przyczyn czy konsekwencji, został sprowadzony w akcie trzecim do omówionego „ciasnego” realizmu poto, żeby zasugerować konieczność „wyjścia” poza realizm.

Przejdźmy z kolei do ostatniego rzekomego „zwycięstwa” irracjonalizmu.

Pod koniec aktu trzeciego przeciwstawia Szaniawski realizmowi jakiś jakoby poza nim istniejący świat, który w rzeczywistości nie jest niczym innym, jak światem naszych wspomnień i tęsknot, naszej pamięci o nieobecnych lub zmarłych bliskich nam ludziach.

„...przedstawiłem panu — mówi dyrektor „Teatru Snów” do dyrektora „Małego Zwierciadła” — trochę ludzi, związanych z pań-

skim teatrem. „Niektórzy z nich podobno nie żyją, ale żyć będą, póki żyje pan”.

Cóż mówi się przeciw potocznie, że zmarli żyją w naszej pamięci. Tak właśnie, jako przenośnię, odczułoby to powiedzenie widownia, gdyby nie ton gwałtownego zdumienia, jakim dyrektor „Małego Zwierciadła” odpowiada:

— Póki ja żyję?
Na co dyrektor „Teatrów Snów” wyjaśnia z całą powagą:

— Tak, ale potem pan żyć będzie tutaj, ujrza tu pana ci, co żyli z panem, co pana kochali.

I znowu dyrektor „Małego Zwierciadła” pyta zdziwiony:

— Są tu ci, którzy mnie kochali? Są tu ci, których ja kochałem?

To jego zdziwienie przesuwają w odczuciu widza całą sprawę z naturalnej płaszczyzny — młeciska, jakie nieobecni lub zmarli zajmują w naszej pamięci — na nadprzyrodzoną płaszczyznę ich „materializacji”, „ucielesnienia”. Przesunięcie jest potrzebne, żeby pokazać, że już i dyrektor — realista (przedstawiony zresztą w tym ostatnim, trzecim akcie — w oparciu o niektóre akcenty aktu pierwszego — jako zakapturzony romantyk) został zdobyty dla irracjonalizmu. Teraz ukazuje mu się ukochana przez niego artystka Lizelotta, która zginęła. Dyrektor wpatrzony w nią umiera.

Zasugerowana w ten sposób widzowi konieczność wyjścia poza realizm, ma ułatwić mu „przeknięcie” — wraz z tak oczywistą prawdą o trwaniu zmarłych w naszej pamięci — również innej „prawdy” o niezaprzeczalnie irracjonalnym wydzwieku, „prawdy” zawartej w słowach dyrektora „Teatru Snów” o zmarłym właśnie przed chwilą dyrektorze „Małego Zwierciadła”.

„Nędznym byłby artysta, gdyby innej prawdy nie widział, niż prawda większości z jego teatralnej sali. Ubogim byłby artystą, gdyby nie widział uroków niedorzeczności i nie wierzył, że wąż wasze szable mogą w słońce uderzyć i iskry ze słońca posypać”. „Znieważył was, żołnierze mali, mówiąc o słońcu i motyle”. Te słowa zwrócone są do „żołnierzyków”, do dzieci z „Krucjaty dziecięcej”, impresji, którą widzimy w „Teatrze Snów”, a którą w swoim czasie dyrektor „Małego Zwierciadła” odrzucił podobnie jak sztukę o wysadzeniu w powietrze miasta. Oto owa krótka impresja: „...Idą dzieci, jak przed wiekami, tylko na papierowych hełmach mają polskie znaki, w oczach niosą jakąś tęsknotę, jakąś chęć czynu, a nie wiedzą, że idą na zagładę”.

To ten właśnie akcent, obrona „romantyzmu politycznego”, — bo nie o bohaterstwo powstańców tu chodzi, którego żaden realista nie neguje i przed którym chyli czoło, — ale obrona samej koncepcji powstania, „uroków niedorzeczności”, — taki jest wydzwieku, ku któremu zmierzały, do którego grunt przygotowywały wszystkie uprzednie pozorne zwycięstwa nad realizmem

Szaniawski, który świetnie opanował rzemiosło dramaturga, posiada w niemalym stopniu wycucie tego, jakie „obciążenie” znieść może dana scena, nie wprowadza więc sytuacji, w których braku uzasadnienia byłoby odrzucającym. Rozumie on, że sceny, obciążone irracjonalizmem, jeśli nie mają sprawić, że sztuka będzie błada i nieprzekonywująca, muszą wesprzeć się na scenach o mocnej budowie realistycznej.

W „Dwóch teatrach” mamy szereg mocno postawionych realistycznych postaci. Dotyczy to przede wszystkim pierwszego i drugiego aktu sztuki.

A więc doskonale narysowana sympatyczną postacią dyrektora „Małego Zwierciadła” z jego prostą ludzką dobrocią, z jego umiłowaniem teatru i czujnym sumieniem artysty, z jego słabościami (tłomacząc to swoim naukowym zainteresowaniem się tą dziedziczną interpretuje z zamiłowaniem sny, co pomaga Szaniawskiemu uczynić z niego pod koniec sztuki zakapturzonego romantyka). Postać Montka, postaci woźnego teatru, nie mówiąc już o postaciach obu jednoaktówek, to wszystko są osiągnięcia pełnokrwistego realizmu.

Jeśli w postaci „Chłopca z deszczu”, autora „Krucjaty dziecięcej”, Szaniawski pod-

trzecim, najbardziej obciążonym pierwiastkami irracjonalizmu, autor ma już za sobą szereg atutów, które wypadnie mu teraz tylko umiejętnie wyzyskać.

Po pierwsze, — i to najbardziej decydująco o sile wrażenia, jakie wywierają „Dwa teatry”, — Szaniawski dał widzom w pierwszych dwóch aktach wzruszenia, jakich dostarczyć może jedynie rzetelna sztuka realistyczna. Teraz, w trzecim akcie, chodzi tylko o umiejętnie zwekslowanie tamtych wzruszeń na te nowe tony, o zasugerowanie widzów, że wzruszenie płynie właśnie z tego, co jest istotą „Teatru Snów”. Tę sugestię osiąga Szaniawski w dużej mierze.

mierze współpracuje w tym akcie z dramaturgiem wszystko to, co było w doświadczeniu widowni bolesnym czy tragicznym przeżyciem lat okupacji, rodząc żywszy, niż w innych warunkach, oddźwięk dla akcentów irracjonalnych.

W sztuce Szaniawskiego słyszymy wiele pochwał dla realistycznego teatru. „Teatr pański — mówi dyrektor „Teatru Snów” do dyrektora „Małego Zwierciadła” — jest teatrem prawdziwym, z prawdziwego zdarzenia — i niewątpliwie ma przewagę nad teatrem moim! Schylam przed nim czoło. Jeżeli teatr ten przeżywa jakiś kryzys, to minie, i znowu pan będzie święcił triumfy”.

„Dwa teatry” nie usiłują bynajmniej sugerować widzowi zbędności realizmu, lecz jedynie jego „niewystarczalność”. „My przy was, w naszym teatrze jesteśmy wiołcy, mgliści, bez wagi, wynurzeni z dziwacznej perspektywy...” — kontynuuje skromnie dyrektor „Teatru Snów”, ale nie dajmy się zwieść tej skromności, posłuchajmy dalej: „Tacy, co mogą się zjawić nieproszeni, chociaż drzwi są zamknięte na zatrzask, na klucz i na łańcuch”. Taka jest magiczna moc „Teatru Snów”! Drżycie materialisci — realistci! Nie ochroni was wasz materialny zatrzask, klucz i łańcuch!

Ala — w jakiej sposób uzasadni dyrektor „Teatru Snów” owo „my” i „wy”? Odkąd to sprawy, które mogą przejść przez sieć pajęczą równie dobrze jak przez drzwi zamknięte na zatrzask, klucz i łańcuch, a więc po prostu sprawy psychicznego życia człowieka, jego uczucia, tęsknoty i wszelkiego rodzaju przeżycia, są wyłączone z dziedziny realizmu i oddane w arendę irracjonalizmu?

Zwykłą w tej sztuce metodą zamaskowanego identyfikowania rzeczy bynajmniej nie identycznych, Szaniawski umieszcza to wszystko, co daje się podciągnąć pod kategorię „snów”, jednocześnie w płaszczyźnie realistycznej (sprawa snów w akcie pierwszym) i w płaszczyźnie irrealizmu (analogiczne sprawy w akcie trzecim). Jednakże cała ta budowla uzupełniającego realizm irracjonalizmu, wzniesiona w sztuce Szaniawskiego, przynajmniej dość subtelnie, jest przysłowiowym domkiem z kart rozpadającym się przy dotknięciu analitycznej myśli.

Na zakończenie stwierdzić trzeba jedno.

Na propagandę czystego irracjonalizmu nie ma chyba u nas dzisiaj miejsca. Ale trudno zaprzeczyć, że propaganda „uzupełnienia” realizmu przez irracjonalizm, kofcząc się apologią „krzesania iskiei ze słońca szablami z tektury” i akcentem pogardy dla „prawdy większości”, ma reakcyjny społeczno-polityczny wydzwieku i niedwuznacznie reakcyjno — polityczne filiacje.

Szaniawski, doskonały dramaturg, o realistycznym zacięciu zbudował swoją sztukę tak, żeby jej niesłuszne ideologiczne akcenty przyczyniły jej możliwie najmniej artystycznych spustoszeń. Oparł ją mocno na elementach realistycznych, przynajmniej tym, nie tylko w teorii, decydującą wagę realizmu.

A wszystkie chwytły, za pomocą których toruje w swojej sztuce drogę sugestiom irracjonalistycznym, dają się odsłonić i obnażyć.

Świetnie skonstruowana sztuka Szaniawskiego, oryginalna w pomyśle, ciepła w kreowaniu ludzkich postaci, ciesząca się przede wszystkim sukcesem, mając wprawdzie nieco w głowach mniej zorientowanej publiczności, tym nie mniej przekonano kogośkolwiek o konieczności wyjścia poza realizm nie zdoła.

Melania Kierczyńska



Scena z „Dwóch teatrów” w reżyserii Edmunda Wiercińskiego, z dekoracjami Andrzeja Pronaszkii w Teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach.

kreśla jego urodę efebą, jego nieco widziadłowy charakter, to jednocześnie komentuje tę postać słowami Dyrektora tak, by nie zmącić realistycznego charakteru pierwszego aktu. „...trochę jakiś maniák, jakiś kabotyń, niepozabawiony samoironii i uroku, czy ja wiem, może trochę jakiś kpiarz...” W ten sposób w pierwszym akcie czujemy wciąż pod nogami mocny grunt realizmu, jakkolwiek rozsiadane są w nim poszczególne akcenty antyrealistyczne, do których nawiąże potem akt trzeci.

Drugi akt stanowi o wiele silniejszy jeszcze, aniżeli akt pierwszy, zastrzyk realistycznych wzruszeń. Płyną one z owych dwóch doskonałych jednoaktówek.

Kiedy więc podnosi się kurtyna w akcie

Po drugie: samą swoją niezwykłą strukturą — teatru w teatrze — daje sztuce widzowi poczucie przewyższenia codzienności, „Dwa teatry” nie są bowiem udalozowanym sporem ideologicznym, ale są w każdej swojej sytuacji teatralizacją tego sporu. Otóż akt trzeci ma pod względem niecodziennej struktury najwięcej do zafiarowania wyobraźni widza, najbardziej go frapuje, zmniejszając w ten sposób intelektualne opory w stosunku do sugerowanych rozwiązań.

Po trzecie, atmosfera aktu trzeciego, rozgrywającego się wśród ruin Warszawy, w piwnicy nawpół zburzonego domu, sprawia, że między sceną a widownią rodzi się odrzuca swoisty kontakt emocjonalny. W dużej

ANKIETA CZYTELNIKÓW „KUŹNICY” *)

Jakich dziesięć książek z zakresu literatury polskiej i obcej należy w Polsce wydać najszybciej

W dalszym ciągu podajemy głosy naszych czytelników uzasadniające konieczność wydania wybranych przez nich książek.

Kaz. Chmielowski, (urz. państw., Poznań) podaje następującą listę:

1. Prus Bolesław — „Najogólniejsze ideaty życiowe”, 2. Szajnocha Karol — Mieszko pierwszy i jego czasy”, 3. Witkiewicz — „Sztuka i krytyka u nas”, 4. „Kultura staropolska” Glogera lub w wyd. zbiorowym Trzaski, Ewerta i Michalskiego, 5. Lafontaine, Kryłow i Lemański — bajki (koniecznie z ilustracjami), 6. Liebert — Poezje, 7. „Cuda Polski” (z dodatkami tomów dotyczących Ziemi Odyskanych), 8. Treter lub Antoniewicz — monografia o Matejce, 9. Swift — podróże Gulliwera z ilustr. w całości, 10. Siedlecki—Jawa.
- Autor listy tej pisze: „Na pierwsze miejsce wybrałem ulubionego mego pisarza, który był moim przewodnikiem od lat młodości. Na wspomnianą książkę polewałem przez cały czas okupacji i po wojnie, nie mogąc jej dostać, a wskazówek znalazłoby się dla nas wszystkich co niemiara. Książka Szajnochy — to pierwszorzędną pracą historyczną dziś nie do nabycia. Dzieło Witkiewicza to kopalnia wiedzy o sztuce. Chcąc budować kulturę w nowej Polsce musimy sięgnąć do tego co u nas

w przeszłości było naprawdę wartościowe, czym w dawnych czasach staliśmy i co nas wyróżniało w świecie. Stąd wynikała propozycja co do książek podanych pod pozycją czwartą. Bajka polska i obca w dobrych tłumaczeniach to temat wiecznie żywy i zawsze pożądany. Piękne poezje Lieberta zasługują ze wszech miar na ich przypomnienie. Węgierskie „Cuda Polski” powinny być wzniesione i pomnożone o tomiki obejmujące Ziemię Odyskanę, odkrywające nieznane nam jeszcze piękności ich krajobrazu, folkloru, architektury itd. Obie monografie Matejki są znakomite, wymagają tylko dobrej artystycznej oprawy ilustracyjnej. Niejednokrotnie u nas spotykamy błędem wydawnictw artystycznych jest to, że ich poziom ilustracyjny — nie dorównuje tekstowi słownemu. Spotkałem się ze starym polskim wydaniem Swifta z tak znakomitymi ilustracjami, że przypomnieć muszę i to arcydzieło literatury światowej. Wreszcie ze świata egzotyki proponuję pracę wielkiego naszego uczonego Michała Siedleckiego, opisującą pobyt jego na wyspie Jawie, pięknie napisaną, czyta się jak powieść. Pominałem rzeczy, których wznowienie zapowiada Sp. Wyd. „Książka” Dobrałem autorów i tytuły, które niezawodnie nie zdołają sobie największej ilości głosów, niemniej jednak są pożyteczne i bardzo na czasie”.

W odpowiedzi Zygmunta Radka (stud. Pol. Warsz.) znajdujemy następujące uzasadnienie listy wybranych książek.

„Z punktu widzenia europejskiego, a zatem także z punktu widzenia demokracji polskiej bezspornymi w naszej literaturze zarówno co do wartości, społecznej jak i czysto artystycznych są pozycje Mickiewicza,łowackiego i Norwida. Zainteresowanie młodszą częścią społeczeństwa pismami tych poetów dowodzi po prostu, że przeżycia z lat walki i okupacji, a także wyczerpująca praca dnia dzisiejszego nie zabuły u nas wrażliwość na zjawiska natury artystycznej. Związani głęboko z tradycją naszego narodu pozostają nadal narodowymi, bo znajdują w najszerszych rzeszach publiczności poczytność.

Pismo Św. powinno być wydane, ale bez „imprimatur”. Nabrałoby ono wtedy nowych wartości lietrackich. Mnie osobiście — od lat najmłodszych byłem ateuszem — porywało ono siłą obrazu poetyckiego, pięknem archaicznego języka i surowością kanonu artystycznego. Koledzy moi, a chodziłem do konserwatywnego gimnazjum Górskiego. — znali na ogół lepiej powieści z Dziękuję Zachodu niż pismo święte. Nie przeceniam wpływu literatury na młodzież i na życie w ogóle, ale obserwowałem dawnych czytelników powie-

ści kryminalnych, w czasie wojny. Niektórzy z moich kolegów stali się kryminalistami, inni conajwyżej szeryfami. Mimo najlepszych chęci nie dostrzegałem wśród nich ani postaci św. Pawła ani archanioła z trąbą.

To pewnie, że młodzież nasza pojmuję sens epopei. Dzisiaj dla wielu z nas Odyseja staje się dowodem, że rozczarowanie sensem dawnej walki nie jest wyłączną własnością warszawskich Trojan. Nie tylko nas oszukano. Na drodze powrotu są przeszkody, przecież powrót jest możliwy. Może ta czarująca opowieść antyczna pogodzi nas ze światem kultury starożytnej. W wieżennych murach gimnazjów naszej wczesnej młodości były okazje, by świat ten zniechęcić.

Dramaty Szekspira, których my — mieszkańcy stolicy — nie mieliśmy szczęścia oglądać po wojnie, posiadają własności o tyle osobliwe, że czytane tracą może mniej niż dramaty innych poetów. Te z nich, które są najbardziej czytelne, gdzie wyobraźnia nasza pracuje najłatwiej — powinny być wydane. Peczja Szekspira obudzi zrozumienie dla sztuki prawdziwie rewolucyjnej.

Powieść współczesną cenię od czasu przeczytania Don Kichota. Cenię przez porównanie, lecz ilu jeszcze w naszych czasach błaka

*) por. nr nr 16 i 17 „Kuźnicy”.

się don Kichotów — rycerzy spraw przebraniach i poszukiwaczy straconych okazji? Perypetie pana i wiernego sługi, podróż po rozpaczliwie prawdziwym świecie, oto historia tych, co przeżyli śmierć własnych idei. Publiczność literacką w Polsce można stworzyć. Trzeba jednak nauczyć ją czytać książki tak nudne, a zarazem tak pouczające jak don Kichot.

Nie wiem, czy redakcja „Kuźnicy” udaje się czasem w podróż autobusem. Ja natomiast znam doskonale romantyzm małych prowincjonalnych restauracyjek, gdzie pije się piwo słuchając niebardzo prawdziwych opowieści, gdyż autobus się zepsuł. Na piętrze zwykle mieści się hotel tajemniczy i zapluskowany. W podróży tych spotykam często pana Piekwicka. Jest to postać uroczą — nie ze względu na walory umysłowe czy piękno fizyczne, lecz uroczą jako zjawisko. Filozof, ale bez metody dialektycznej, naukowiec czerpiący swą wiedzę z kalendarzy parafialnych, aptekarz znający się na medycynie, ostatni liberał — oto kilka wcielen p. Piekwicka. Ukazanie się tej niezwykłej powieści wpłynie być może pobudzająco na nasz nadwyrężony zmysł humoru.

Kiedyż nareszcie doczekamy się wydania Piotra I — Aleksieja Tołstoja? Nie chodzi tu nawet o wyjątkową pozycję tej książki we współczesnej literaturze rosyjskiej, ale przede wszystkim o jej rzetelny i obiektywny stosunek do rzeczywistości historycznej, której tak niewiele w powieściach tego typu u nas. Postać autokraty bezlitośnie walczącego z głupotą średniowieczną carskich urzędników i szlachty, żołnierza zachodnio-europejskiego dającego się porównać u nas tylko do Władysława IV nakoniec człowieka na codzień, który w oczach autora mimo cudzoziemskiego wykształcenia i skłonności do cudzoziemszczyzny nie traci charakteru narodowego, wyjaśnićby mógł części społeczeństwa znaczenie i zakres pojęcia tradycji narodowej.

Fr. Kasprowicz, (asystent U. J. Kraków) tak uzasadnia potrzebę wydania dzieł Limanowskiego, Świętochowskiego i Chałasińskiego.

„Książka Limanowskiego — („Historia demokracji polskiej”) poświęcona „polskiej młodzieży myślącej”, staromodna, pozornie sucha i odstarczająca drobiazgowością, jest jednak nadal niezastąpiona. Trzymając się w granicach uświęconego „sine ira et studio” autor dał ścisły, nie podmalowany patriotycznie i nie sfalszowany demagogią obraz ruchu wyzwolenczego Polski porzobrowej i głównych jego aktorów. Ukazał jego zezabianie się i krzyżowanie z równie potężnym nurtem walki o uprawnienie upośledzonych... Świętochowski („Historia chłopów polskich”) był i długo zapewne będzie czytany przez wszystkich z wściągniętymi. Jako świadectwo krzywdy i ucisku, jeśli nie cięższego, niż gdzie indziej na wschodzie, czy zachodzie, tym niemniej usprawiedliwiającego z nadwyżką wyłączenie bez odszkodowania. Jako dowód siły i odporności chłopstwa, jego prób zdobycia politycznej pełnoletności i wyzwolenia z opieki narzucających się gwałtem, nieproszonego „opiekunów”. Dziś Świętochowski nie wywołuje rumieńców wstydu i ścienia pięści u wiejskiego czytelnika; nienawistny dwór przestał się liczyć... „Młode pokolenie chłopów” to więcej, niż kopalnia bezcennego materiału socjologicznego; to formik międzywojennej biedy i beznadziejności, rozbieżności rwących się w świat dążeń i dusznej, parafialskiej ciasnoty. Wolność? Jakże miżny, pokraczny owoc półtorawiekowych zmagani, cierpień i ofiar. W księdze Chałasińskiego jest zawarte wytłumaczenie wielu napozór niepojętych przeobrażeń roku 1944 i następnych”.

Z twórczości powieściowego autor odpowiedzi proponuje m. in. „Kubusia Fatalistę” Diderota i „Pannę de Maupin” Gautiera.

„Trudno orzec, czy Diderot był lepszym filozofem, czy lepszym kpiarzem, jeśli jednak równie dobrze filozofował, jak potrafił bawić, był niewątpliwie geniuszem. Pełny geniuszu zdobył także hojnie „Pannę Maupin”, wygrażając po wielokroć drobne niedbałości i kaprysy w budowie tej zachwycającej, rozbrajającej - szelmowskiej książki, dostępnej jak i poprzednio w mistrzowskich wydaniach. Tylko „Dekameron” Boccaccia lub „Colas Breugnon” Romain Rollanda osiągały taki poziom szampańskiej lekkości i dowcipu. (Wydanie obu tych arcydzieł przez „Książkę” w bieżącym roku jest już jednak postanowione; stąd można je było pominąć w niniejszym projekcie”).

Cytowany przez nas w poprzednim numerze L. B. (stud. Uniw., Łódź) uzasadnia potrzebę wydania dzieł wielkich klasyków francuskich Rabelais, Descartes’a i Voltaire’a z punktu widzenia ich roli w służbie postępu.

„Wymieniając „Gargantua i Pantagruel” myślałem o sile, z jaką godziła ta zjadliwa groteska w średniowieczne formy gospodarstwo - ustrojowe. Dokończyć miał tego dzieła znacznie później Voltaire. Ale zanim przejdą do teatru marionetek, jaki zaprezentował nam patriarchy z Terney w swoich powiastkach filozoficznych zatrzymam się przy ojcu racjonalizmu, przy Kartezjuszu. „Rozprawę o metodzie” trzeba wzmóc. I to właśnie dzisiaj gdy starzy zwolennicy mesjanizmu i młodzi wielbiciele Bergsona, Freuda i James’a za-

siadają na katedrach uniwersyteckich. Racjonalizm Kartezjusza powinien nauczyć myśleć poprawnie i logicznie, z którą to sztuką trudno się zaznajomić czytając rozprawę o „Biesiadzie dusz” Towiańskiego i roztrząsania na temat roli absolutu w „Metapolityce” Hoene-Wrońskiego. Następna pozycja to Voltaire, wzór i model literatury propagandowej. W tym wykrzywionym zwierciadle feudalizm rysuje się i pęka. Za uwiecznienie prostaczka, za ponurą dolę Kandyda „na tym najlepszym ze światów” odpowiada przecież wyłącznie ustrój społeczny”.

Inny czytelnik **W. Góra**, pisze: „Aby kraj nasz odbudować musimy zmienić nasz stosunek do człowieka pracy, wykuć w naszym narodzie szacunek dla niego i cześć. Pojęcie heroizmu pracy, bohatera pracy, jeszcze u nas mało spotykamy, najsilniej uwidacznia się w literaturze sowieckiej. Z książek, które powinny być wydane w pierwszym rzędzie, jest książka „Gładkowa pt. „Cement”. W związku z odbudową kraju, w związku z pojęciem bohaterstwa pracy pozostaje wiara w człowieka: właśnie, w człowieka szarego, który potrafi w najtrudniejszych warunkach uczyć się, poświęcać dla dobra ogółu, i walczyć sobie trudną drogę w najtrudniejszych nawet warunkach. Może przykład bohaterów niektórych książek wpłynie dodatnio na rozwój naszej młodzieży i skieruje ją na nowe drogi. Książki te to: „Kobieta sama” (córka ziemi) — Agnes Smedley; „Jak się hartowała stal” — Ostrowskiego i „Bula Marti” — Wassermana. Życie wciąż kroczy naprzód. Nie ma chyba człowieka, któryby nie zgodził się na to, że ustrój kapitalistyczny przeżył się, że musi ulec pewnym modyfikacjom (delikatnie się wyraziwszy), ale jak ten ustrój destrukcyjnie wpływał na rozwój człowieka, jak hamował i zamykał drogi jednostki zdolnej (dla której u nas wszystkie drogi są otwarte), niechaj opowie wspaniała powieść Teodora Dreisera pt. „Geniusz”. Straciłszy już wielu ludzi; nie możemy narażać się na dalsze straty. Młodzież nasza, kierowana podczas okupacji (w znacznej swej części) przez nieodpowiedzialnych twórców pseudo-faszystowskiej legendy, zarażona została dekadentyzmem, zachwiana w swych moralnych podstawach. Nie wolno nam jednak rezygnować z tej młodzieży. O odrodzeniu człowieka opowiada głęboka powieść Awdiejki pt. „Kocham”. Dużą część naszego społeczeństwa choruje na anglosaską chorobę, t.j. pokutuje w niej wiara w t. zw. demokrację zachodnią. Dla tych to obywateli radziłbym przetłumaczyć książkę Upton’a Sinclair’a pt. „Grzeźwisko”. Popolitym jest u nas rozdzielanie szat i biadanie nad tym, że jesteśmy zniszczeni, że nie mamy rady, że bez kapitału zagranicznego... itd. Chciałbym, aby ci przeczytali sobie kilka książek o nieszczyśnionych Chinach, które od lat 15 znajdują się w stanie wojny — o kraju eksploatowanym przez zagraniczne koncerny, w którym miliony ludzi ginie rok rocznie z głodu, a które mimo to nie tracą nadziei i zmagają się ze znacznie większymi trudnościami, aniżeli my. Należałoby przetłumaczyć też książkę Agnes Smedley pt. „Cierpienie Chin”, („Chiny krwawia” i „Chiny walczą”) oraz książkę Pearl Buck pt. „Zęby Smoka”. Jest u nas wiele utworów o obozach koncentracyjnych — o obozach śmierci. Nie wiele natomiast książek ujmujących zagadnienie faszyzmu z innej strony: ze strony jego psychologicznej obudowy i moralnej nicotności. I dlatego powinno się koniecznie wydać książkę André Malraux pt. „Czasy Pogardy” która choć w roku 1937 wydana, nie straciła ze swej aktualności”.

Przechodząc do niektórych ciekawych uzasadnień dzieł literatury polskiej spotykamy się z głosem T. Rakowskiego, (urz. Zarz. M. Warszawa), który uzasadnia potrzebę wydania czołowych utworów literatury polskiej okresu dwudziestolecia.

„Twórczość Chojnowskiego, Berenta, Iwaszkiewicza, Nałkowskiej, Uniłowskiego, Choromańskiego, Gombrowicza, Schulza — to rzeczy, które na ogół zdały swój egzamin w obliczu krytyki swojej epoki i dziś należą do żelaznego repertuaru naszej literatury niemniej niż Żeromski, Sienkiewicz, Weyssenhoff, Prus. Musimy przedłużyć panowanie naszej literatury — nie kończyć się ona na Młodej Polsce. Książki autorów dwudziestolecia są w większości nie do nabycia”.

Ten sam autor pisze: „Wydać mi się, że rzeczą pilną byłoby wydanie „Pałuby” Karola Irzykowskiego. Ta rewelacyjna na gruncie naszej ułańsko - moralizatorskiej literatury książka powinna zostać dziś odkryta na nowo”.

Dr. Janina Klawe (nauczycielka, Toruń), podaje uzasadnienia książek, po części już wydanych, biorąc pod uwagę przede wszystkim ich rolę wychowawczą:

Maria Dąbrowska — „Ręce w uścisku”. Książka ta wiąże się ze współczesnymi przeobrażeniami naszego ustroju. Ogół społeczeństwa nie zdaje sobie jeszcze sprawy ze społecznego znaczenia spółdzielczości, traktując ją niemal wyłącznie jako zjawisko gospodarcze. Rola spółdzielczości jako szkoły demokracji, opartej o instynkt samopomocy społecznej nie jest jeszcze dotąd oceniona. Książka „Ręce w uścisku” uwydatnia wielką ideę moralnego odrodzenia jednostki i narodu przez spółdzielczość. Autorka przedstawia żywo i barwnie dotychczasowe osiągnięcia w tej dziedzinie i w słowach pełnych entuzjazmu maluje przyszły ustrój spółdzielczy, w którym codzienna rzeczywistość jest zrealizowaniem jasnych

i promiennych ideałów solidarności i braterstwa.

Paweł de Cruif — „Łowcy mikrobów”. Jeżeli chcemy skończyć z apoteozowaniem wojen i mordów, to bohaterem wojennym, który nieśli śmierć i zniszczenie, musimy przeciwstawić bohaterów pracy, którzy ze śmiercią tą walczyli. Zapoznanie się z ich życiem, z rozmachem woli, dążące wytrwale ku jednemu celowi, zlekocważenie własnego życia w imię tego celu jest impulsem pobudzającym aktywność i wysiłek twórczy. Książka ma jeszcze jedną zaletę: przypominając z jaką nieufnością i szyderstwem odnosili się ludzie do wielkich odkryć nakazuje tym samym współczesnemu człowiekowi należyte ustosunkowanie się do wszelkich nowych idei i pomysłów.

Halina Górka — „Druga brama”. Poruszone tu zagadnienie odrębnych wartości, które wroszą do życia różne środowiska społeczne jest nader ważne dla współczesnej epoki, obfitującej w liczne przegrupowania. Mamy dwie młodociane jednostki: ze sfery robotniczej i ze środowiska intelektualnego. Jeżeli dzielność, zaradność, odporność na ból i troski, jednym słowem tężyzna życiowa jednej daje się odczuć jako przewaga upokarzająca dla drugiej, to jednak z biegiem czasu we wzajemnym ich stosunku przychodzi do głosu różna subtelna wartości sferze intelektualistów i znajdują dla siebie zrozumienie. Książka Górskiej może się tedy przyczynić do zlagodzenia niechęci i nieufności klasowych. Na der cennym jest w niej również uwydatnienie różnicy między sztywnym nieraz ustosunkowaniem się do spraw zbiorowości „ludzką proleta” i pełnym sercem podejściem do żywego, „pojedynczego człowieka”.

Autorka odpowiedzi zgłasza ponadto: **Jana Wiktora** „Orkę na utorze”, „Na ratunek”, „Stara baśń” Kraszewskiego, „Krzyżaków” Sienkiewicza, **Ewy Curie**, „Marię Curie”, **Wandy Wasilewskiej** „Po prostu miłość” i **Amicisa** „Serce”.

Jedną z odpowiedzi otrzymaliśmy od czytelnika „Kuźnicy” przebywającego na emigracji w Anglii. Pisze on:

„W konkursie choćbym nawet chciał, nie mogę brać udziału, bo jest na to grubo za późno. Nr 77 „Kuźnicy” otrzymałem dopiero przed kilku dniami. Nie mniej jednak wydam się mi się, że warto zwrócić uwagę Redakcji na nieznaną prawie i nie komentowaną książkę p. t. „Najogólniejsze ideały życiowe” B. Prusa, zawierającą jego filozofię życiową. Książka ta zasługuje w całej pełni na wydobyć jej na światło dzienne. Myślę, że w epoce realizmu ta pozycja twórczości wielkiego pisarza, może wiele dać myślącej warstwie społeczeństwa... Tylko czy znajdują się w jakiej bibliotece choć jeden jej egzemplarz?”

Pod listem znajdujemy wymowny i smutny dopisek:

„Gdybyście Panowie umieścili tę notatkę w swym tygodniku, to proszę to uczynić bez podawania „adresu”.

T. Wataszkiewicz (Gdańsk — Wrzeszcz) uzasadnia reedycję głosić przed samą wojną książki J. Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy”, „To przedwojenne dzieło publicystyczne ma ogromne znaczenie z dwu przyczyn: przede wszystkim w okresie paktu polsko - niemieckiego było wyraźnym i śmiałym podkreśleniem, że nie zrezygnowaliśmy nigdy z tych obszarów, gdzie ziemia zgromadziła prochy przeszłych słowiańskich i polskich dziejów. Powtórę obecnie ukazuje nam jaką głęboką zdolność przewidywania mieli ci ludzie, którzy wskazywali na historyczne prawa Polskich Ziemi Odzyskanych! Te założenia historyczno - polityczne, wskazane z gruntowną znajomością przedmiotu pięknym, żywym językiem stanowią o wartości dzieła Kisielewskiego. Dziś szczególnie ciekawa jest konfrontacja naszych przedwojennych, jakże odosobnionych głosów w tej dziedzinie z realnymi osiągnięciami Polski w 1945 r.”

Ten sam czytelnik z wybrzeża wypowiada się za reedycją Conrada: „Wśród licznych dzieł Conrada należy wyróżnić „Tajfun” jako najpełniejszy wyraz zwycięskiej walki człowieka z żywiołem. Miłość dla morza i wierność wobec służby morskiej, oto cechy, które powieści Conrada wróżą trwałą i mocną pozycję u czytelników polskich, przetwarzających zbiorowo naszą ojczyznę w kraj morskich”.

O Conradzie pisze też dr. St. Safjan (Biała Podlaska) „Należało by wydać wszystkie dzieła tego pisarza. Jest w nich siła, stanowczość, wytrwanie, stalowy opór świadomej woli ludzkiej, przeciwstawiający się, choćby za cenę życia, ślepy i obojętny słoń. Jest wielkość morza i wielkość człowieka”.

H. Kowalczyk (urzędnik Szczecin) stwierdza: „Ankieta „Kuźnicy” nie daje w pełni wypowiedzieć się jakich książek brak nam najbardziej, gdyż nie 10 jest najpotrzebniejszych, ale setki czy nawet tysiące — ze wszystkich dziedzin. Wymieniając 10 książek, wcale nie mam przekonania, że właśnie te są potrzebniejsze od 100 innych, których nie wymienię. Brak nam książek szkolnych, popularno-naukowych, beletrystycznych. — Powinniśmy wydawać przede wszystkim rzeczy autorów polskich, a z obcych tylko najbardziej wartościowe. Trzeba wydać całego Marksa, Dostojewskiego, Rollanda, Szekspira,

Homera, Dantego, nie mówiąc o książkach ściśle naukowych, które powinni wskazać kompetentni. Dobrze by było wydawać „Bibliotekę Wiedzy” ze wszystkich dziedzin, tylko taniej niż Trzaska, i bardziej przystępnie dla szerokiej mas”. Wymienia Mickiewicza, Orzeszkową, „Nad Niemnem” Dąbrowską („Noce i dni”), Struga („Złoty krzyż”), Kossak-Szczucką („Krzyżowcy”) Iwaszkiewicza („Czerwone tarcze”), Brzozowskiego („Płomienie”), literaturę polską „Chrzanowskiego, Brücknera lub inną”.

Inny z naszych czytelników (cytowany już S. Ch. Łódź) reasumując wnioski z ankiety pisze: „Sprawa poruszona przez redakcję „Kuźnicy” jest sprawą niezmiernie ważną. Od tego jakie książki będą wydawane, oraz od tego, czy przystępna będzie dla czytelników ich cena, zależy rozwiązanie zagadnienia wielkiej doniosłości. Chodzi o to, jaką będziemy mieli inteligencję? Czy będą to ludzie światli o szerokim poglądzie na świat i jego sprawy, czy też ludzie niedowarzeni w rodzaju tych, którzy na konkurs ogłoszony obecnie przez „Tydzień”, konkurs, polegający na wskazaniu 5-ciu dzieł godnych nagrody, wymieniają powieść p. t. „Café bar pod Miłogą”.

W innym miejscu: „Obecnie książek nie tylko brak, ale te, którą są, są tak drogie, że żadnego prawie młodzieńca w wieku szkolnym jak również jego rodziców nie stać na ich kupno. Może nawet w stosunku do cen innych artykułów ceny książek nie są wygórowane, ale dla spauperyzowanego społeczeństwa są zbyt wysokie. Aby rozwiązać to zagadnienie w sposób pożądany należy polecić o wydawnictwach z funduszy państwowych. Państwo może i powinno w swoim własnym interesie przyjąć z pomocą uczącą się młodzieży. Bez tej pomocy nie można nawet marzyć o jakim takim postępie. Pożyteczna i wartościowa książka musi być tania, mówiąc wulgarnie, jak barszcz”.

To samo pisze student medycyny z Wrocławia: „Ważny problem stanowią też ceny książek, szczególnie podręczników, które, mimo tej samej objętości, są przeważnie droższe od powieści. Czyżby to była kalkulacja wydawców, licząca się z tym, że młodzież i tak kupi niezbędny podręcznik? Dla przeciętnego studenta, często żyjącego z raczej usiłującego żyć z 1000 złotowego stypendium, kupienie książki urasta do problemu (Embriologia prof. Godlewskiego — 1.600 zł. Fizjologia — prof. Szabuniewicz — 900 zł. wyd. w r. 1946). Tłumaczenie się brakiem papieru nie jest istotne. Po co marnuje się papier na wydawanie „Znachora” — Mostowicza („Dobra książka” — 1946 r.), „Gorącego śladu” (autora już nie pamiętam) czy wielu innych bzdur? Społeczeństwo można wychować i przyzwyczaić do dobrej książki”.

Po obliczeniu ilości głosów oddanych przez poszczególnych uczestników ankiety na książki, które w ogólnym jej wyniku uzyskały największą ilość głosów Redakcja „Kuźnicy” stwierdziła, że bezpłatne bony książkowe, uprawniające do nabycia książek w cenie zł. 1.000 zgodnie z zapowiedzią ankiety otrzymują: **Baranowski Wiesław** (Warszawa), **Budrecki Lech** (Łódź), **Chwał Maria** (Łódź), **Fischbach Zdzisław** (Września Wlkp.), **Janczewski Stefan** (Gliwice), **Kapłon Jan** (Nowy Targ), **Konopka Tadeusz** (Kraków), **Kowalczyk Henryk** (Szczecin), **Markiewicz Henryk** (Kraków), **Protówna Janina** (Wrocław), **Rozmaj Jerzy** (Zakrzówek, pow. Kraśnik), **Safjan Henryk** (Biała Podlaska), **Tarka Stefan** (Wrocław), **Trzaska Jan** (Płock), których lista książek zawiera conajmniej 3 spośród tych, które znalazły się w pierwszym dziesiątku.

Wobec znacznego rozbitcia głosów Redakcja postanowiła pozostałe 6 spośród 20 bonów książkowych przyznać niezależnie od trzech pierwszych nagród autorów wyróżnionych uzasadnień wyboru. Pierwszą nagrodę w wysokości zł. 5.000 za najciekawszą z nadesłanych uzasadnień Redakcja postanowiła przyznać **Zygmuntowi Radkowi** (Warszawa), drugą nagrodę w wys. zł. 3.000 **Stanisławowi Lutkowi** (Warszawa), trzecią nagrodę w wys. zł. 2.000 **Janowi Adamowi Jeziorańskiemu** (Karlino, Pomorze Zachodnie).

Bony książkowe dla autorów wyróżnionych uzasadnień otrzymują **Kazimierz Chmielowski** (Poznań), **Stanisław Chruścielski** (Łódź), **Władysław Góra** (Łódź), **Franciszek Kasprowicz** (Kraków), **Janina Klawe** (Toruń), **Regina Wojska** (Siedlce).

Nagrody i bony książkowe dla uczestników ankiety zamieszkałych w Łodzi są do odebrania w redakcji „Kuźnicy”. Uczestnikom ankiety, zamieszkałym poza Łodzią zostaną one przesłane pocztą.

PRZEGLĄD PRASY



MARUDERZY

Wspomniałem w zeszłym tygodniu o panu Przetakiewicz, który na łamach „Dziś i Jutro” wziął się oburzać za obmywanie z niesławy przedwojennego ONR-u. Nie wiem kim jest pan Przetakiewicz, ale wydaje mi się to obojętne. Zapewne jest jednym z dorosłych podczas wojny pacholat uniwersyteckich, którym wicher nie zdołał wywieźć z głowy czadów faszyzmu. Zostawmy go na boku, niech wspomina koszule, mieczyki, wiece w cyrku i malpę wyrzucanie rak. Inna bowiem sprawa warta jest uwagi.

Doceniam w pełni znaczenie postępowej myśli katolickiej w nowym układzie sił ideologicznych w Polsce. Szanuję odwagę tych działaczy obozu katolickiego, którzy ziomli dobro reformy ludowej i potrafili wyrazić to otwarcie. Jeśli niejedną z nich był w przeszłości faszyzta, to uważałbym za dówód zbyttniej surowości stwarzanie z tego odium dla człowieka. Dla człowieka, który przejrzał „Prawo do błędu” działa w wielkim promieniu czasowym i nie ogranicza go okres dwóch lat. Jest to chyba aż nadto oczywiste.

Ale strzeżmy się złudzeń. Nie wszyscy faszyści zostali wytrzeźwieni. Dur u niejednego trwa. Masowa transformacja byłaby cudem, jakiego nie łatwo dokazać. Chyba, że jest się p. Wojciechem Kętrzyńskim, który sprawił cud, przedstawiając zdumionym ródakom ONR, jako ruch katolicki dwudziestolecia.

„Dziś i jutro” powinno wystrzegać się złośliwych maruderów, którzy zaczepiają po drodze swój rozbity wielki o osie katolickiego pojazdu. Grupa ideologiczna zrywająca z przeszłością powinna liczyć się z tym, że przeszłość nie lubi, aby z nią zrywano. Jeśli się nie potrafi zapobiec siłom regresji, siłom świadomym i celowym, jeśli się nie uderzy mocno po palcach czepających się osi — pojazd stanie; zła przeszłość zwycięży. Artykuł pana Przetakiewicza, artykuł pana Kętrzyńskiego i podobne, jakich ostatnio dość wiele pojawiło się w prasie obozu katolickiego — to maruderstwo ideologiczne, spóźnione, rozbite powózki, które należy spychać do rowu, daleko od traktu. Jeśli „Dziś i Jutro” tego nie będzie czynić w przyszłości, narazi się na sytuację rzadką i szczególną: stanie się jedynym na świecie piśmie katolickim, które rodowodu swej ideologii szuka w fałszywie.

Pan Przetakiewicz nie pozbył się cech cynizmu, tak charakterystycznego dla dawnej młodzieży palkarskiej, cynizmu wyrastającego zapewne z głupoty. Broni ONR-u z platformy „czystości intencji”; najmniej sprawdzalnej z ocen czynów ludzkich, co słusznie wytknął „Głos Ludu” w artykule „Amnestia jest dla ludzi a nie dla ideologii”.

„Dawny Falangista”, pisze, pan Przetakiewicz, „człowiek zakazany totalizmem, z niego się otrząsnął. Postawa natomiast pozostała ta sama, postawa człowieka, który na przełomie epok, w poszukiwaniu prawdy wychodzi na przeciw nowym czasom”.

Tym pięknym cytatem zakończymy dziś nasz felieton. Nie napiszemy dziś nic więcej, aby red. Dobraczyński po powrocie z Paryża, gdzie nie wątpimy o tym) uzyskała dla swych dzieł przekłady na wszystkie języki świata, — mógł nasycić swe oczy słowem tak szczerym i prostym.

Kandyd.

KORESPONDENCJA

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z pomieszczoną w numerze 111 „Gazety Ludowej” oszczerczą notatką p. t. „Pokrzywdzony”, komunikuję, że sprawę o zniesławienie skierowałem do sądu państwowego.

Łączę wyrazy poważania

Janusz Minkiewicz

Łódź, 24.4.1947.

SPROSTOWANIE

W poprzednim 17 nr „Kuźnicy” wydrukowano błędnie tytuł felietonu Mieczysława Jastruna: „O młodzieży akademickiej”, zamiast: **O młodzieży poetyckiej.**

W Nr 16 „Kuźnicy” w artykule Anny Kamińskiej p. t. „Bajki Lucyny Krzemienieckiej” podano mylnie, że książkę „O młynarzu Sylwestrze” wydał „Czytelnik”. Książka ta została wydana przez Spółdz. Wyd. „Książka”.

„Odrodzenie” szybko wybiło się na czoło naszego powojennego czasopiśmiennictwa i stanowi dziś pozycję, której nie powstydziliby się zagranicą. Przed wojną pismo takie nie ustępowałyby w niczym „Wiadomościom”, które jakby mimowoli stały się wzorem dla redaktorów pism — od prawicy do lewicy wszyscy dziś starają się przejąć dziedzictwo dobrego redagowania pisma. Redagowanie bowiem pisma jest czymś oddzielnym od jego treści i kierunku. Jest to umiejętność jaką w znacznym stopniu posiadli Francuzi, o czym możemy się przekonać czytając lub choćby przeglądając literackie pisma paryskie. Ta tradycja wyglądu pism nie jest nam niestetydana. To też nie dziwi się Janowi Parandowskiemu, gdy pisząc o swoich paryskich wrażeniach w „Tygodniku Powszechnym” (nr 16) wspomina z sentymentem „Nouvelles Literaires”, choć prawdę mówiąc treść i kierunek tego pisma i jak „Litteraire” o którym również wspomina autor „Nieba w plomieniach” w obecnych konkretnych warunkach politycznych Francji nie przypomina w niczym liberalnych tradycji „Marianne” czy dawnych „Nouvelles”. Na liberalów przyszło widać siedem lat chudych!

Ale wracając do „Odrodzenia” trzeba tu podkreślić, że mimo wielkiego liberalizmu w doborze autorów — liberalizmu, którego nie dostrzegaliśmy w okresie krakowskim — linia pisma pozostaje bez zmian, „Odrodzenie” czytane, przez większość inteligencji polskiej i docierające do najszerzszych kręgów czytelników, stosuje słuszną zasadę drukowania w zakresie literatury rzeczy na prawdę na wysokim poziomie, zaś w zakresie publicystyki sprzyja hasłom współczesnego postępu i stara się kształtować umysłowość czytelnika pod tym właśnie kątem w dżeniu. Dziś, gdy nakłady pism urosły do kilku dziesiątków tysięcy kierunek w jakim formuje dane pismo opinie swoich czytelników nie może być i nie jest obojętny dla nikogo, kto sprzyja sprawie postępu w Polsce.

Z drugiej zaś strony — w zakresie literatury pięknej — lansowanie utworów artystycznie niełatwych (choćby nagroda dla Brezy) coraz częściej publikowanie prac, których autorzy starają się realizować postulat niepojednania sprawności technicznej i nowoczesnych zdobyczy artystycznych, jakie nam zostały przekazane, odbija się korzystnie od widocznego w innych pismach wulgaryzowania i lekceważenia tych spraw na rzecz „swojszczyzny”, regionalizmu itp.

Numer świąteczny „Odrodzenia” znów jest numerem świetnym. Jan Parandowski podaje obszernie sprawozdanie z kongresu Pen-Klubu w Sztokholmie. Julian Krzyżanowski pisze o „Korbantianum” — gabinetice filologicznym Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, który obecnie został przekazany uniwersyteci w warszawskiemu. Zbigniew Bieńkowski po słabych raczej korespondencjach poprzednich zamieszcza obszerny artykuł „W teatrach paryskich”. Obficie ilustrowany artykuł ten omawia dość wyczerpująco repertuar paryski. Bieńkowski nie ogranicza się do suchego wykazu sztuk, ale stara się je zanalizować, ustosunkowując się krytycznie do tego kierunku współczesnego teatru francuskiego, który prezentuje nam jedynie igraszki wyobraźni, nie sięgając w głąb losu ludzkiego.

O Prusach Wschodnich pisze Jan Przygórski. O socjologicznej metodzie przekładu — Seweryn Pollak. Praca ta jest bardzo interesująca i pełna rzadkiej dziś erudycji nietylko w dziedzinie literatury polskiej lecz i rosyjskiej. Mimo to niezupełnie mógłbym się zgodzić z tezą Pollaka, który po pierwsze bez reszty zamyka poetę w jego epokę, po drugie stwierdza, że doskonały przekład może być uzyskany jedynie w wypadku bliskiego pokrewieństwa między poetą — twórcą i poetą - tłumaczem. Te pokrewieństwa z wyboru nie wydają mi się dość przekonujące i raczej jako warunek dobrego przekładu stawiałbym doskonałość warsztatu tłumacza i jego techniczne możliwości. Przekład Porębowicza z Dantego jest doskonały, a jakież mogą być paralele socjologiczne między wielkim poetą włoskim i znakomitym tłumaczem?

Józef Chałasiński pisze o problemach demokracji, Paweł Konrad w artykule „Marksizm bez przyłbicy” wyklada w sposób dostępny dla przeciętnego czytelnika sens humanistyczny marksizmu. W naszej sytuacji, gdzie do niedawna marksizm był bajką o żelaznym wilku, a na uniwersytetach nadal traktowany jest jak brzydkie kaczątko, taka popularyzacja, właśnie w piśmie literackim, godna jest pochwały. Recenzje, kroniki, popularne już dziś „Plotki...” i camera zamykają świąteczny numer „Odrodzenia”.

„Odra”, jak twierdzi kronikarz prasowy „Nowin” rozlała. Istotnie, śląskie pismo zmieniło swoją szatę zewnętrzną, upodabniając się zewnętrznym do pism stołecznych. Gdybyż tak jeszcze te zmiany dotyczyły i treści! Niestety, tak nie jest. Obszerne i źródłowe informacje dotyczące spraw śląskich pozostają oczywiście poza obrębem moich zarzutów. Myślę raczej o informacjach, jakich „Odra”

udziela swoim licznyim zapewne czytelnikom z zakresu zagadnień literatury. Zwłaszcza literatura francuska nie ma szczęścia i czytelnicy „Odry” po kilkunastu numerach przestają się zupełnie orientować w rozwoju kulturalnym naszej zachodniej siostry. Przyczynia się do tego głównie p. Bronisław Kamiński, który nadsyła „Odrze” korespondencje z Paryża. Z tych korespondencji dowiadujemy się np. więcej o prywatnym życiu Jana Cocteau niż o jego twórczości pisarskiej. P. Kamiński podaje nam plotki z przed wojny i dyskwalifikuje w ten sposób bądź co bądź niezmiernie interesującą, choć być może mało popularną, poezję Cocteau. Można wychodząc z założenia, że są to sprawy prze-

brzmiałe i mało dziś zajmujące nie pisać w ogóle o Cocteau. Nie wolno jednak szermować z młodzieńczą nonszalancją słowami „degenerat”, „pozer”, itp. Nie są to kategorie właściwe dla oceny dzieł literackich, zaś plotek dość mamy własnych i nie trzeba przysyłać ich „Odrze” aż z Paryża. W dziale literackim ghetto śląskie. Zwraca uwagę brak recenzji z książek „Odra” ma wszelkie warunki, aby stać się transformatorem kultury na Śląsku. Trochę mniej regionalizmu w literaturze, trochę więcej zainteresowania dla spraw kultury ogólnopolskiej, trochę większa selekcja materiału literackiego, trochę mniej pochopnego zaufania do niedoświadczonych korespondentów!

ph.

Noty

Repatrianci i węgiel

Z władzami strefy amerykańskiej zostało zawarte porozumienie, umożliwiające podjęcie repatriacji Polaków polskich z Francji. Mimo to pierwszy pociąg repatriacyjny został zatrzymany przez władzę amerykańską na granicy strefy okupacyjnej.

Obecnie dowiedzieliśmy się wreszcie, o co chodziło. Amerykanie zażądali wygórowanych opłat tranzytowych za przejazd pociągów przez tę strefę. Podczas gdy Niemiec płaci za przejazd strefy amerykańskiej w wagonie II klasy 6.38 dolara, każdy repatriant polski, przewożony w wagonie towarowym, miał pokrywać za to 10 dolarów. Ponadto Amerykanie zaproponowali uszczelnienie należności węglem z kopalni śląskich według niekorzystnego dla Polski stosunku. W wyniku kilkutygodniowych rokowań Amerykanie zredukowali swoje żądania o połowę, a opłaty będą pokrywane nie węglem śląskim, lecz gotówką.

bs

Pan Pickwick o komunizmie

Angielskie czasopismo „The New Statesman and Nation” zawiera stałą rubrykę pt. „This England”. Zamieszcza się tam groteskowe, a często charakterystyczne dla mentalności angielskiej wycinki z prasy, lub oryginalne powiędzenia. Najcenniejsze wypowiadzi nagradzane są przez redakcję sumą 5 szillingów. Oto ilustracja: „Założeniem komunizmu jest nienawiść klasowa, a jedyną instytucję w naszym kraju nie posiadającą cech klasowych, to gra w rugby i knajpy (pubs). Komunizm zaczął już za pośrednictwem Rządu unieścić knajpy przez pomysły sprzedaży alkoholu i likierów w kontrolowanych przez państwo restauracjach.” — Mr. Adrian Stoop. Zamieszczone w piśmie „Football Argus” Newport (Mon.)

A. Z.

Życie wypełnione i okrucieństwo

W ostatnim numerze „Dziś i jutro”, w rubryce listów do redakcji, czytamy:

„Pisząca te słowa zna kobiety, które wojna oddaliła od mężów i podziwia je. Kobiety te pracują na utrzymanie swych dzieci, troska o nie wypełnia ich życie i skraca czas oczekiwania na powrót bliższą wiadomość o śmierci mężów. Kobiety te mają życie wypełnione”.

Wydawałoby się drobnostką, ot... anonimowy list kołtunki. Ale nie mam ochoty drwić z „życia wypełnionego oczekiwaniem na pewną wiadomość o śmierci męża”. List ten jest dla mnie świadectwem moralności okrutnej i nieludzkiej. Przełumaczcie sobie tylko to zdanie na jakąś konkretną i obyczajową rzeczywistość. I zobaczcie czego broni czytelniczka „Dziś i Jutro”.

Oto pisze: „P. Zofia Z. uważa, że największa tragedia to to, że syn może kiedyś zginąć na wojnie, jak jego ojciec i dziadek. A czy p. Zofia Z. tego nie rozumie, że syn może wolaćby zginąć niż dowiedzieć się kiedyś, że jego matka prowadziła niemoralne życie”.

Piękna moralność? Według niej wszystko jest lepsze, i sama śmierć i wyczekiwanie na cudzą śmierć od... niemoralnego życia. A to „niemoralne życie”, to wolny związek.

Nie bronię wolnego związku, bronię tylko ludzkości.

rdc.

Wbrew komu?

W Nr 16 tygodnika „Dziś i Jutro” o. Dominik Horodyński publikuje list Jana Kotta, w którym autor „Mitologii i realizmu” wystę-

puje ze słuszną pretensją o przypisanie mu przez katolickiego publicystę wyrazów radości i „schadenfreude” z powodu upadku kultury zachodniej oraz połączenia w dedykacji jego nazwiska z nazwiskiem Zygmunta Nowakowskiego.

W liście swoim umieszcza jednak Kott nie bardzo jasne zdanie, które p. Horodyński w lot podchwytuje. Piszę mianowicie: „Od dwóch lat bronie uparcie i wbrew wszystkim konieczności nawiązania do najbardziej zachodniej i europejskiej tradycji francuskiego oświecenia i francuskiego wielkiego realizmu”.

P. Horodyński, cytując je, wytłuszcza słowa „wbrew wszystkim” i urywa zdanie na słowach „europejskiej tradycji”. Mogłoby być zapytać Jana Kotta, co miał na myśli pisać swoje „wbrew wszystkim”. Trudno przypuszczać, aby nie docenił roli tych, którzy w pełni popierali jego zasadnicze stanowisko publicysty i krytyka. Zapewne myślał wyłącznie o tym, co stanowi wyraz jego najzupełniej osobistych literackich upodobań. W takim razie jednak spreparowanie zdania Kotta przez Horodyńskiego odbiera mu najzupełniej sens, nieprawda jest bowiem, że Jan Kott „broni wbrew wszystkim konieczności nawiązania do zachodniej i europejskiej tradycji”. Prawda jest natomiast, że zarówno Horodyńskiemu jak i Kottowi trudno byłoby odpowiedzieć wbrew komu podejmują taką obronę.

r. m.

Plan wydawniczy

Pisząc o planie wydawniczym w nocie zamieszczonej w Nr 14 „Kuźnicy” żłk. wysunął prostą, zrozumiałą dla każdego rozsądnego czytelnika myśl taniach a starannych edycji utworów „klasycznych”. Zdawałoby się, że nie można wytoczyć żadnego śmiałego argumentu przeciwko tej myśli, a jednak w nocie na ten temat (Nr 16) am. obeszany jak widać z działalnością Instytutu Badania Czytelnictwa, kwestionuje celowość tej myśli, powołując się na wyniki badań. Zdaniem am. pracy ogólnooświatowej nie można zacząć w literaturze „klasycznej”, wzorowej, do tej lektury czytelnik musi być dopiero doprowadzony. Autor noty am. nie wypowiedział nic nowego, znamy te starą piosenkę: nie można dawać „ludowi” odrzucającej literatury, bo jej nie zrozumie, trzeba go dopiero podciągnąć, ośwoić, wykształcić...

A na czym kształci się gust, jeżeli nie na dobrej literaturze klasycznej? I czemu Balzak, Gogol czy Prus mają być mniej dostępni niż pisarze współcześni, których wartość nie przeszła jeszcze przez probierz czasu? Sans blague! Niepotrzebnie am. powołuje się na Instytut Badania Czytelnictwa. Niechże am. zastanowi się, że Instytut ten, choćby działał najlepiej, działa w warunkach opłakanych kulturalnie a właśnie warunki te trzeba zmienić. Skoro nie było w kraju racjonalnego planu wydawniczego, więc nie dziwnego, że obecne zainteresowania mało wyrobionego czytelnika daleko odchylają się od literatury wzorowej. Badania Instytutu mogą wykazać, jakie są obecne zainteresowania, na jakie trudności natrafia się, chcąc je skierować na tory literatury wartościowej, słowem jakie są gusty i ich wypaczenia. Myślą planu wydawniczego nie jest zaspakajanie obecnych gustów, ale pokierowanie nimi na przyszłość. Używany przy tej okazji przez am. wieloletni termin „konkretne powołanie społeczne” kryje w sobie niebezpieczeństwo dalszego utrwalania podziału na kulturę „niższą” i „wyższą”.

awk.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”.

Wydawca: Zespół „Kuźnicy”.

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN SOŁKLEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.

CENY OGŁOSZEŃ:

Kolumna zł. 60.000; 1/2 kolumny zł. 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł. 8.000; 1/16 kolumny zł. 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpalte.

D-011524 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, wtorki 2.